Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 4 (1740) 26 stycznia – 1 lutego 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Zamordyzm gorszego sortu

str. 3

Znajdź bałwana

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 04

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl a2ff4f8b46

WOJNA DOMOWA

W ramach serialu Kamiński & Wąsik doszło do konfrontacji między Jarosławem Kaczyńskim i Marcinem Mastalerkiem, zwanym ostatnio wiceprezydentem. „Mam nadzieję, że prezydent się zdecyduje i w końcu ich uwolni, bo tą metodą, którą zastosował, to jeszcze rok może trwać" – burknął prezes pod więzieniem. A Mastalerek na to, że „to prezydent ma rację, a nie prezes", który jest naiwny i nie ogarnia: „gdyby prezydent zastosował rady w dobrej wierze składane przez Prawo i Sprawiedliwość i prezesa Kaczyńskiego, to byłoby to po prostu bezskuteczne". Tak do końca to już nikt nie wie, czy ostatnie ułaskawienie to ułaskawienie nowe, alternatywne, czy może stare aktualizowane, ale faktem jest, że we wtorek wieczorem „więźniowie polityczni" zostali odbici.

Opuszczających areszt z łaski prezydenta polityków witał tłum, a w zasadzie dwa tłumy, bo reżim Bodnara złośliwie umieścił ich w osobnych zakładach, żeby rozbić siły przeciwnika. Tłum w Radomiu, gdzie siedział Kamiński, był niewątpliwie większy, może dlatego, że rachityczny eksminister rzeczywiście wyglądał, jakby mógł zejść z powodu głodówki, podczas gdy jego pyzaty zastępca mógł na diecie tylko zyskać. „Panie Tusk, panie Hołownia, niedługo się zobaczymy" – ogłosił groźnie Kamiński witany przez tłum okrzykiem „Cześć i chwała bohaterom!". Najwyraźniej dwa tygodnie w pojedynce stawiają Kamińskiego z Wąsikiem na równi z powstańcami warszawskimi i zdobywcami Monte Cassino. To jest miś na miarę naszych możliwości…

Marcin Mastalerek zapytany, czy wierzy, że prezes PiS odejdzie w 2025 r., odparł cokolwiek protekcjonalnie: „Ja prezesa Kaczyńskiego znam i uważam, że nie odejdzie. Ja prezesowi Kaczyńskiemu życzę jak najlepiej, żeby jak najdłużej był prezesem Prawa i Sprawiedliwości i mógł sobie działać". Zapytany, czy – gdyby prezes jednak odszedł – prezydent jest zainteresowany jego fuchą, Mastalerek odpowiedział pytaniem: „Jak ktoś przejdzie grę komputerową, to drugi raz zaczyna od początku czy zaczyna inną grę? Pan prezydent Duda przeszedł grę dwukrotnie i co, ma się cofać na początek i zostać partyjnym liderem? Absurd!". Pytanie: czy ów totalny olew wiceprezydent okazuje prezesowi Prawa i Sprawiedliwości i jego stanowisku w imieniu własnym czy prezydenta?

Niejako w cieniu straszliwej czternastodniowej epopei więziennej bohaterów PiS odbyło się przyjmowanie budżetu. Senator Krzysztof Kwiatkowski z dumą doniósł na platformie X (dawniej Twitter), że „wszystkie 19 komisji senackich zakończyło pracę na budżetem" i „nie wprowadzono ani jednej poprawki", ozdabiając wpis ikonką nabrzmiałego bicepsa, symbolu mocy. Jakoś nikt nie zapytał, po cholerę senat z jego 19 komisjami, skoro nikt nie chciał nic poprawić przy najważniejszej w roku ustawie, która budzi niejakie wątpliwości. Na przykład: dochodów z VAT minister finansów Andrzej Domański zaplanował o cztery duże bańki więcej niż rząd Morawieckiego, mimo że Morawiecki chciał od 1 stycznia przywrócić VAT na żywność, a Tusk tego nie zrobił. Wydatki na ubezpieczenia społeczne Domański zmniejszył, choć nie dość, że ma utrzymać 13. i 14. emeryturę, to jeszcze obiecał dwie waloryzacje. Z ciekawych zmian można wymienić także zwiększenie wpływów z PIT o 400 mln zł oraz obniżenie podatku od firm o 8 mld zł. Biznes ma się z czego cieszyć, pracownicy – niekoniecznie.

Minister Bodnar udał się do siedziby prokuratury krajowej i kazał podmienić tabliczkę na drzwiach jej szefa. Zamiast Dariusza Barskiego jest teraz Jacek Bilewicz, co najwyraźniej – w prawniczej opinii ministra – czyni tę zmianę oficjalną. Proces wymiany tabliczek okazał się, jak mówią Amerykanie, antyklimaksem (poprawny termin: antygradacja), biorąc pod uwagę, że stowarzyszenie ziobrowych prokuratorów od poprzedniego wieczoru mobilizowało się w sieci. „Uwaga! Jutro niewykluczone siłowe wejście uzurpatorów do Prokuratury Krajowej i Prokuratur Regionalnych. Bądźcie czujni i gotowi!" – wzywali członkowie organizacji o intrygującej nazwie „Ad Vocem". Naszym zdaniem powinna nazywać się „Ja panu nie przerywałem".

Wicepremier Krzysztof Gawkowski surowo skarcił prezydenta Dudę: „Nie spodziewałem się wiele po Dudzie, ale tego, że się skompromituje, będzie wszystkim przeszkadzał i na koniec jeszcze spoliczkuje sam siebie – to naprawdę przekracza moje nawet wielkie doświadczenie polityczne". Krzysztof Gawkowski, rocznik 1980, był dwukrotnie radnym Wołomina, raz radnym sejmiku mazowieckiego, a teraz drugą kadencję jest posłem. Zanim został wicepremierem, jedyne stanowisko polityczne, jakie piastował, to gensek SLD przy Leszku Millerze. Słowem: jeśli tak wygląda w dzisiejszej lewicy działacz z „wielkim doświadczeniem politycznym", to pora umierać.

Agent Tomek znowu nadaje. Tym razem o burdelach w Wiedniu, które na polecenie Kamińskiego i Wąsika postawił agentom Grzegorzowi P. i Krzysztofowi B. w nagrodę za wierną służbę przy kuszeniu polityków PO. „Z pieniędzy operacyjnych płaciłem za alkohol, noclegi i domy publiczne. Kamiński i Wąsik mieli tego świadomość, ale rozliczyli te wydatki. Zostało to zaksięgowane jako »obsługa osobowych źródeł informacji«" – poinformował TVN24 były poseł PiS, dodając, że kolegów zawiózł do Wiednia służbowym samochodem. Determinacja zaiste imponująca – jakby nie można było zamoczyć w Przasnyszu. Agent Tomek liczy na status świadka koronnego, stosowany zazwyczaj wobec członków mafii, którzy nadają na byłych kamratów.

AWŁ

Z URNY URBANA

W momencie, w którym dopiero poznajemy nową władzę i jej ludzi, przypomnijmy sobie sytuację sprzed ośmiu lat. Oto, co pisał Urban o ludziach wówczas nowej władzy w felietonie ze stycznia 2016 r.

Moja zoologiczna nienawiść

Rząd Beaty Szydło zwleka z płaceniem Polakom alimentów 500 zł za dziecko, gdyż budżet ładował pieniądze w przemysł garsonkowy. Rząd zaspokajał tym potrzeby własne, ale realizował także program wciągania kraju w produkcję innowacji. Garsonki, poza panią premier, która zużywa dwie dziennie, noszą emerytki do kościoła i recepcjonistki do pracy. Strój ten stał się czemuś nagle obciachowy i przemysł garsonkowy padł.

Pani premier straciła też dobitność. Jej mowy stały się płaczliwe. Powinna nosić białą szatę, bo intonacja przypomina wezwania modlitewne muezzina z minaretu. (W Brukseli nie jęczała, mówiła normalnie). Powiada też zawsze to samo, chociaż czasem coś dorzuci. Szydło sama dla siebie jest katarynką i papugą.

Sejmowy szef klubu PiS wygląda tak, jakby jego twarzą ktoś się podtarł i nie spuścił wody. Ten zmięty i pokalany papier staje się upiorny, kiedy się uśmiecha. O polityku, który ma nasrane wewnątrz głowy, wspomnę później.

Wygląd ekipy rządzącej bardzo odmładza wysłużonych aktorów w ich domu starców w Skolimowie. Gdy widzą w telewizorze Dudę, cieszą się, że Eugeniusz Bodo nadal występuje, i dziwią się, dlaczego nie śpiewa. Jedna przedwojenna artystka twierdzi, że Duda to nie Bodo, tylko Kiepura, „ale to wszystko jedno – ta sama facjata strażaka, który wieczorami zakradał się do mojej kucharki".

W krępym Kaczyńskim dostrzegają Gomułkę, który kupił sobie perukę.

Rafał „proszę panią" Bochenek, poprzednio pogodynka krakowska, chodzi za premier jak ochroniarz. Czasem także powtarza coś za swoją szefową, tylko gorszą polszczyzną niż Ślązaczka. Znam się trochę na rzecznikowaniu. Ono polega nie na chodzeniu, tylko na siedzeniu na posiedzeniach niezliczonych komitetów i komisji rządowych, żeby znać się na wszystkim lepiej niż premier i zastępować go w perswazjach. Do chodzenia za sobą pani Szydło wystarczyłby pies, a do powtarzania za nią druga obok niej samej papuga.

Już premier Pawlak, ludowiec, wziął sobie za rzeczniczkę Miss Polonię i Szydło powtarza nieudany eksperyment fizjonomiczny.

Generalnie jednak pod względem wizerunkowym ekipa PiS dobrana jest świetnie. Elektorat tej partii może się z nią utożsamiać. To już nie są Tuski, Sienkiewicze, Sikorscy, obca ludowi elita żrąca ośmiorniczki i dobierająca wina wedle roczników. Szydło byłaby na miejscu, rozrzucając gnój, a Kaczyński – karmiąc świnie. Co zresztą robi.

Dwaj wykształciuchy w rządzie wyglądają, jak gdyby spadły z Platformy. Mają twarze napiętnowane wykształceniem. Piszę o Gowinie i Glińskim. Gowin dlatego nie kojarzy się z obłością plemnika, że wyborcy prawicy nie patrzą przez mikroskop i w ogóle nie wierzą w mikroby. Ten drugi jest marsowy, ale jak się pokaże, wzbudza wesołość. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Długo ośmieszał go sam prezes, więc śmiejemy się, idąc na jego pasku. Gliński nastroszył się, ale wzmoże tym wesołość.

David Cameron przedstawia się jako premier Jej Królewskiej Mości. W rzeczywistości królowa może mu nachuchać. Camerona do Europy ustosunkował ujemnie Tomasz Sakiewicz, szef jednego z domów medialnych PiS. To radykał dobrej zmiany – tych, którzy go widzieli, mylący swą przeciętną ludzką twarzą. Pędzący pociąg PiS Sakiewicz ogląda z bocznicy, na którą wykoleił go Kaczyński za obrazę swojego majestatu. Sakiewicz głosi bowiem herezję, że to on, jego gazeta i kluby doprowadziły Jarosława do władzy. Kaczyński trafnie zaś uważa, że panowanie PiS to jego samodział. Otóż „Gazeta Polska" Sakiewicza uczyniła niegdyś Camerona swoim człowiekiem roku. „Osobiście sądziłem, że może nam się przydać sojusznik, który w sprawach międzynarodowych myśli podobnie jak my" – pisze Sakiewicz zupełnie wolny od wątpliwości, czy Cameron w ogóle wie, że został człowiekiem „Gazety", a też o samym istnieniu jej i Sakiewicza. „Walka o suwerenność w Unii jest warta nagrody »Gazety«, Orbán na nią zasłużył". W ten sposób Sakiewicz stworzył antyniemiecki front polsko-brytyjsko-węgierski. Kończy samochwalstwo, wspinając się na palce: oto, jaka skuteczna jest jego gazeta i jej kluby.

Redaktor metodycznie popełnia polityczne samobójstwo. Jest odwrotnością lisiego Terleckiego, bo ma nasrane w głowie od wewnątrz. Przypuszcza, że rządzi Europą.

W oczach Unii Europejskiej Polska paskudnie wygląda i brzydko pachnie. Za to w oczach swych wyborców ekipa rządząca nareszcie pod względem estetycznym przypomina naród. Co prawda odzwierciedla jego piękno z czasów poddaństwa chłopów, ale PiS ma rację, gdy głosi, że właśnie przeszłość ma przyszłość.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

Kto następny pójdzie siedzieć i za co?

Facebook

Tomira Misztal: Ktokolwiek to będzie, wróci na wolność szybko, technika ułaskawień doskonalona jest z dnia na dzień.

Tomek Grzybowski: Kaczyński… Za tydzień…

Eugeniusz Rezmer: Trzeba ustalić kolejkę do odsiadki. Można internetowo.

Maksymilian Boganow: Braun za zabawy w Strażaka Sama.

Rafał Pietrzak: Jutro posiedzenie sejmu, zasiądą wszyscy.

Eugeniusz Rezmer: Za czym ta kolejka stoi? Po wyrok, po wyrok…

Marcin Ch: Najpierw trzeba posadzić Dudę, żeby nikogo nie mógł ułaskawić.

Maciej Dadej: Brzoza za Smoleńsk.

Magdalena Król: Terlecki za butapren.

Tomasz Na: Nikt nie pójdzie, bo Maliniak będzie hurtowo „ułaskawiać"…

Rafał Bartkowiak: Jarosław! Jarosław!

Michał Kwiatkowski: „Uważaj, gówniarzu, żebyś ty nie siedział".

Paul Pedreira: Ja proponuję zaczekać, aż Adrianowi skończy się kadencja.

Mag Mar: Więźniowie rotacyjni.

Anna Ławniczak: Producent pieca za brak instrukcji, jak zrobić cieplej.

Forum

BOG: Obojętnie który, ale za niewinność i patriotyzm.

PRASA ŚNIADANIOWA

- Nowy król Danii **Fryderyk X** w swoją pierwszą podróż uda się do Polski. Oby nie spotkał się z królem Polski Jezusem Chrystusem.
- Jak informuje **TV Republika**, psy w telewizji lubią oglądać inne zwierzęta. To wyjaśnia, kto ogląda TV Republika.
- **Szymon Hołownia** przekazał na Wielką Orkiestrę barierkę ochronną sprzed sejmu. Panu marszałkowi wydaje się, że to kawałek muru berlińskiego?
- Serwis **kosciol.wiara.pl** przypomina, że nadawanie ludzkich imion zwierzętom to grzech. Tak więc po chrześcijańsku nazywajmy czarne psy Murzyn.
- **Przemysław Czarnek** zaapelował, aby mówić po angielsku, ale myśleć po polsku. Zapomniał dodać, żeby liczyć w jidysz.

MARTA M.

eprasa.pl a2ff4f8b46

Trafił nam się zamordyzm gorszego sortu: ciemny, niedouczony, awanturniczy i pazerny.

Autorytaryści wczoraj i dziś

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Polska stała się główną w Europie widownią walki demokracji liberalnej z autorytarną dyktaturą populistyczno-nacjonalistyczną – od 2005 r. mozolnie i ze znacznym sukcesem budowaną przez Jarosława Kaczyńskiego i jego partię Prawo i Sprawiedliwość. Podobne do PiS ruchy pojawiły się w wielu krajach europejskich, ale władzę sprawują jedynie w kilku krajach strefy poradzieckiej. W tradycyjnych historycznych granicach ZSRR, Ukrainy nie wyłączając, dominują – z wyjątkiem pewnie tylko Armenii i z matecznikiem w samej Federacji Rosyjskiej. W pozostałej Europie ten współczesny ruch autorytarny rozwinął się najbujniej w Polsce i na Węgrzech, gdzie od ponad 10 lat sprawował władzę. Duże wpływy ma we Francji, we Włoszech i Hiszpanii, ostatnio rośnie w siłę w Niemczech, nigdzie jednak nie jest bliski zdobycia władzy samodzielnej czy też dominacji w koalicji.

Na Węgrzech ruch autorytarny jest w pewnym sensie najsilniejszy, zdobył w parlamencie większość konstytucyjną i legalnie przeprowadził likwidację najważniejszych instytucji demokratycznych lub pozbawił je realnego znaczenia. Zachowuje jednak sporą ostrożność w demonstrowaniu wrogości wobec demokracji, głównie w obawie przed ostrą reakcją zachodniej Europy. Na Węgrzech pamięta się, że przed 25 laty, kiedy w sąsiedniej Austrii silną pozycję w rządzie uzyskała partia neofaszystowska, jej wycofanie wymusił zgodny bojkot państw europejskich. W Polsce PiS nie zdobyło dotąd takich wpływów jak Fidesz Orbána, choć sprawowało władzę łącznie przez dziesięć lat, w tym osiem samodzielnie.

Triada hitlerowska

W przeszłości, po pojawieniu się i upowszechnieniu państw narodowych, rządy autorytarne w Europie – i szerzej: w zeuropeizowanym świecie – należały do reguły, a demokracja liberalna do wyjątków. Silne cechy autorytarne miały wielkie monarchie konstytucyjne: europejskie, a także japońska i chińska. Najbardziej widać je było w cesarstwie rosyjskim, najsłabiej w Wielkiej Brytanii, ale wszędzie były obecne. Po I wojnie światowej nastąpiła w Europie krótkotrwała ekspansja liberalnej demokracji, ale rychło odepchnęła ją kontrofensywa agresywnego faszystowskiego lub półfaszystowskiego autorytaryzmu. Bezpośrednio przed wybuchem wojny europejskiej w 1939 r. na naszym kontynencie pozostało tylko kilka państw o ustroju liberalno-demokratycznym: Wielka Brytania, Francja, Szwajcaria, trzy państwa skandynawskie. W pozostałych rządzili autokraci różnej proweniencji. Również obecnie, po ekspansji demokracji liberalnej wywołanej zakończeniem zimnej wojny i upadkiem Związku Radzieckiego – co skłoniło Fukuyamę do ogłoszenia „końca historii" – obserwujemy przybierający na sile kontratak autorytaryzmu. Na razie słabo rozpoznanego i dość zróżnicowanego. W Europie, i szerzej: na świecie, ten autorytaryzm pod pewnymi względami przypomina przedwojenny faszyzm – ale tylko pod pewnymi i jedynie w niektórych krajach.

Dzisiejsi autorytaryści, Orbán i Kaczyński w szczególności, od poprzedników ochoczo przyjęli jedynie hitlerowską triadę ideowo-polityczną: demokrację liberalną wykorzystać w całej rozciągłości i bez skrupułów w wyborczej walce o władzę; program socjalny socjaldemokratów zawłaszczyć jako metodę zyskania ludowego poparcia; populizmem zaś i nacjonalizmem posłużyć się w przekształcaniu demokracji po zdobyciu władzy w wydmuszkę i utrwalać tę władzę.

Dwa pierwsze człony tej triady wykorzystano skutecznie, mniej więcej tak jak Hitler w latach 30. Gomułka w swoich wspomnieniach opisuje udrękę, na jaką został narażony w katowickim więzieniu w 1936 r., gdy umieszczono go w celi razem z kilku Ślązakami – robotnikami osadzonymi za przynależność do nielegalnej NSDAP. Ci młodzi śląscy hitlerowcy z zapałem przekonywali go, że prawdziwym socjalistą jest Hitler, a moskiewscy to sługusy żydowskiej finansjery. On w trzy lata dał robotnikom niemieckim dużo więcej niż oni rosyjskim w ciągu 20. Politykę „pieniędzy nie ma i nie będzie" zastąpił programami inwestycyjnymi, socjalnymi i pełnym zatrudnieniem. Podobnie Orbán i Kaczyński.

Nacjonaliści kontra kosmopolici

Z tym trzecim członem poszło gorzej. Zamiast prawdziwych ideowych populistów nową władzę na Węgrzech i w Polsce masowo poparli nieudacznicy, którzy nie dobrali się do konfitur po upadku realnego socjalizmu, a teraz nieudolni i pazerni na potęgę kradną w nowym systemie. Jeśli to przedstawiciele ludu, to raczej tego spod budki z piwem. Za co się brali, to psuli.

Był to element bardziej chuligański niż propaństwowy, dość liczny w politycznej warstwie dawnej Solidarności.

Symbolicznym przedstawicielem tego środowiska okazał się Mariusz Kamiński z gestem Kozakiewicza na sali sejmowej.

Jeszcze gorzej z nacjonalizmem. Budowniczowie państw autorytarnych przed II wojną światową mieli do dyspozycji autentyczne nastroje nacjonalistyczne w państwach, które pierwszą wojnę przegrały (Niemcy, Węgry) lub zostały mocno poturbowane wielkim kryzysem gospodarczym (Polska, Włochy, Hiszpania). Te nastroje nacjonalistycznego wzburzenia oddawały w służbę autorytarnej i nastawionej mocarstwowo władzy najlepsze talenty i siły narodowe. Dziś inaczej: na manifestacjach w obronie Kamińskiego i Wąsika oraz TVP Kurskiego przeważają seniorzy i weterani; patrioci raczej „historyczni" i w walce politycznej mało użyteczni.

Młodsze pokolenie w wymiarze globalnym jest nastrojone nacjonalistycznie tylko w Trzecim Świecie, gdzie wciąż żywa jest pamięć kolonializmu i walka z jego skutkami, ale nie w Europie i krajach zeuropeizowanych. Tu młodsze generacje nie są nacjonalistyczne, lecz kosmopolityczne. Chętnie emigrują, łatwo asymilują się za granicą. Do wojska się nie garną, chyba do niedzielnego tylko, a sowicie wynagradzanego. Do wojny ich nie ciągnie w żadnym kraju. Putin, aby znaleźć rekrutów, sięga po chuliganów i zadymiarzy z więzień. Podobnie Zełenski. Jeśli prawdą jest, że z Ukrainy uciekło za granicę 600 tys. mężczyzn w wieku poborowym, to oznacza, że od służby w obronie ojczyzny uchyliła się połowa rezerw mobilizacyjnych tego kraju. Kiepsko tam musi być z nacjonalizmem, ale też z normalnym patriotyzmem. W Polsce nie byłoby lepiej, gdyby wojna zapukała do drzwi.

Warto też zauważyć, że nasi współcześni autorytaryści, w odróżnieniu od poprzedników, swojego autorytaryzmu się wstydzą, oszukańczo zaklinają się na demokrację i konstytucję.

Daleko im do Piłsudskiego, który pomiatał nią publicznie per „konstytuta-prostytuta" i nie miał skrupułów. Czy Fidela Castro, który namawiany w 1960 r. przez Gomułkę do niezwłocznego przeprowadzenia na Kubie wyborów – które wygrałby w cuglach – odpowiedział, że w Ameryce Łacińskiej wybory już nie w modzie.

Autentyzm nacjonalistyczny sprawiał, że dawne partie autorytarne przyciągały w swoich krajach najlepszych fachowców od polityki gospodarczej czy też techniki. Polscy endecy mieli Władysława Grabskiego, piłsudczycy Eugeniusza Kwiatkowskiego, III Rzesza Niemiecka Hjalmara Schachta i Alberta Speera, nasza III RP tylko Leszka Balcerowicza i Zytę Gilowską. Standardy raczej nieporównywalne. Najbardziej kompetentnych polityków gospodarczych miała do zaoferowania tylko popeerelowska lewica: Grzegorza Kołodkę i Marka Belkę.

Zmiana ustroju, nie polityki

Istotna współcześnie różnica między reprezentantami autorytaryzmu na zachodzie i na wschodzie Europy – przynajmniej w chwili obecnej – zdaje się polegać na tym, że ci pierwsi skupiają się na postulatach politycznych, a nie ustrojowych. Po Marine Le Pen czy jej włoskiej koleżance można oczekiwać nawet drastycznej zmiany polityki migracyjnej, regulacji płacowych lub relacji z Rosją Putina, lecz nie zamachu na prawo wyborcze czy system trójpodziału władzy. Są zatem, przynajmniej jak dotychczas, mniej niebezpieczne dla demokracji. Również Trump w Ameryce usiłował instytucje demokracji wykorzystać, a nie zmieniać. Do głowy mu nie przyszło pozbawiać sędziów niezależności poprzez podważenie zasady absolutnej nieusuwalności.

Amerykańscy sędziowie są mianowani przez władze polityczne; sędziowie SN przez prezydenta za zgodą senatu. Mianujący ma wpływ na orientację sędziego na osi konserwatyzm–liberalizm, ale nie pozyskuje jego personalnej lojalności. Nie ma bowiem wpływu na jego dalszy los, nie może go odwołać czy wymienić. Nawet skierować w stan spoczynku: sędzia sam decyduje, czy przejdzie na emeryturę, czy pozostanie na funkcji do śmierci. Boleśnie o niezależności SN przekonał się Trump pod koniec 2020 r., kiedy walczył o podważenie wyboru Bidena. Liczył na to, że Sąd Najwyższy – w połowie przez niego dobrany – poprze go i zakwestionuje w kilku stanach niewielką, ale wystarczającą liczbę głosów oddanych na Bidena. Zawiódł się całkowicie: SN w całości pozostał lojalny wobec prawa, a nie prezydenta. Trump pomstował na sędziów, wymyślał im publicznie od zdrajców – ale przestał na nich liczyć. Nasi amatorzy władzy dyktatorskiej, ukształtowani przez tradycje Europy Wschodniej, skupiają się po zdobyciu większości w parlamencie na podporządkowaniu sobie instytucji demokracji i sądów lub pozbawieniu ich wpływu. Zmiana ustroju jest dla nich ważniejsza niż zmiana polityki. Znamienne tu jest doświadczenie ośmiu lat rządów Jarosława Kaczyńskiego.

Piłsudski, Gomułka, Kaczyński

Zabiegi Kaczyńskiego o pełnię władzy dyktatorskiej – takiej jaką dysponował kiedyś Piłsudski, a później pierwsi sekretarze KC PZPR – mają kilka specyficznych cech. Jedna z nich to wyraźna niechęć do wykorzystywania legalnych, zgodnych z procedurami demokracji dróg realizacji swoich władczych ambicji. Poza oczywiście wyborami.

Sięgnijmy do przykładów. W 2015 r., zaraz po zdobyciu większości w sejmie i senacie, w walce o opanowanie i podporządkowanie Trybunału Konstytucyjnego PiS wykazywał dość nienaturalny pośpiech. W ciągu roku zyskałby w tym trybunale większość w drodze legalnego delegowania kandydatów na zwalniające się miejsca. Po dwu latach do obsadzenia na tej drodze byłaby też prezesura trybunału. Obyłoby się bez awantur i łamania konstytucji.

I drugi przykład z czasów już najnowszych. W sprawie Kamińskiego i Wąsika zaniechano najbardziej oczywistej i legalnej metody zabiegów o ich mandaty i wolność: sugerowanego przez prof. Zolla podważenia wyroku warszawskiego sądu z 20 grudnia 2023 r. w drodze procedury kasacyjnej. Szanse na to, że Izba Karna SN ten wyrok uchyli i odeśle do ponownego rozpatrzenia, były spore. Przede wszystkim dlatego, że w czasie zasądzania tego wyroku obaj podsądni byli zaprzysiężonymi już posłami nowego sejmu i chronił ich immunitet, a sąd i żadna ze stron nie wystąpiły o jego uchylenie. Byłby to wzgląd formalny skuteczności kasacji, ale właśnie takie względy SN bardzo lubi. Jednak PiS oraz sami zainteresowani wybrali drogę bezprawia i warcholstwa, pogardliwego ignorowania warszawskiego sądu i jego wyroku, co w konsekwencji eskalowało konflikt i doprowadziło do osadzenia obu delikwentów w kryminale. Między wymienionymi było wiele podobnych przypadków omijania metod legalnych na rzecz łamiących prawo i bardziej konfliktowych. Zwykle wyjaśnia się to skłonnością Kaczyńskiego do rządzenia poprzez konflikty. Może, ale nasuwa się też inna, ważniejsza motywacja.

Dyktatura nieudaczników

Legalne, zgodne z procedurami metody opanowywania instytucji państwa prawa wymagają wysuwania kandydatów możliwie najlepszych pod względem kwalifikacji. Tacy zaś kandydaci po uzyskaniu wyboru czy nominacji stosunkowo łatwo się uniezależniają, a w każdym razie z większym trudem poddają się sterowaniu z tylnych ław. Przykład zbuntowanego szefa NIK dał zapewne Kaczyńskiemu do myślenia. Umocnił jego skłonność do wyboru metod sprzecznych z prawem, konfliktowych, ale promujących kandydatów drugiego sortu. Takich, którzy jak mgr Przyłębska w żadnym innym trybie do Trybunału Konstytucyjnego by się nie dostali z powodu kompletnego braku kwalifikacji. Tacy bowiem są łatwo sterowalni i zawsze na skinienie prezesa.

Inna cecha negatywnie wyróżniająca Kaczyńskiego wśród autorytarnych kolegów to lansowanie sprzecznej z racją stanu polityki zagranicznej, prowadzącej do niebezpiecznego osamotnienia Polski w Europie. Nie każdy dyktator w przeszłości prowadził fatalną politykę zagraniczną – Francisco Franco i Antonio Salazar uratowali swe kraje, zachowując neutralność w II wojnie światowej mimo nacisków Hitlera. Niestety Kaczyński nieopatrznie i z zapałem do nieuniknionego konfliktu z Rosją dodaje również konflikt z Niemcami, wbrew rzeczywistości i interesom Polski. Na dodatek wyłącznie w złudnej nadziei na pożytki propagandowe. W złudnej, gdyż obecnie na resentymenty antyniemieckie czułe pozostało jedynie starsze pokolenie, i to po części. Konfliktu tego nie da się uzasadnić nawet roszczeniami reparacyjnymi. Coś ponad odszkodowania przyznane przez konferencję poczdamską (1945) uzyskały jedynie kraje pozostające z Republiką Federalną w przyjaźni, a nie w konflikcie. Spóźniona antyniemieckość to czysta fanaberia.

Polska ma pecha. Nie tylko w postaci wieloletnich rządów autorytarnych, lecz dodatkowo dlatego, że trafił nam się autorytaryzm gorszego sortu: ciemny, niedouczony, chuligański i pazerny. Współwinne tego nieszczęścia są również partie, które pokonały PiS 15 października 2023 r. w wyborach, z wyjątkiem Trzeciej Drogi Hołowni. Posolidarnościowa Platforma Obywatelska ma na sumieniu lata wspólnego z PiS budowania demokracji kulawej, zarażonej antydemokratyzmem spóźnionego antykomunizmu oraz nieodwzajemnionej miłości w popisowym narzeczeństwie. Także lewica, w każdym razie ta jej część, która przez dwie kadencje rządziła w III RP, ma na sumieniu umizgi do tradycji solidarnościowej. A wszyscy razem karygodne zaniedbanie socjalu. Teraz muszą to odrabiać.

M.Z.

eprasa.pl a2ff4f8b46

PiS poszukuje następcy Kaczyńskiego.

Bambik czy Brutus

„Chciałbym, żeby pan prezes jak najdłużej był szefem Prawa i Sprawiedliwości, spajał nasz obóz. A potem chciałbym również wystartować w tym zaszczytnym wyścigu, w tej konkurencji” – zadeklarował w radiu Zet były premier Morawiecki. I choć jest on notorycznym kłamcą, to tym razem jego wypowiedź wywołała wielkie poruszenie w obozie Zjednoczonej Prawicy.

Na nic zdały się deklaracje prominentnego posła Jacka Sasina, że nie ma takiej dyskusji w ogóle. Wiadomo, że w klubie parlamentarnym PiS rozpoczęła się już taka, tylko na razie skrywana. A Morawiecki jedynie dolał oliwy do tlącego się ognia.

Ale zaraz potem jego publiczna deklaracja została uznana jako strategiczny błąd. Chęć szybkiego zapełnienia pustki po nieobecnym Zbigniewie Ziobrze. Co prawda Zbyszko formalnie nie jest członkiem PiS i nie może ubiegać się o prezesurę w partii Kaczyńskiego, ale po wchłonięciu przez PiS bielanowskich republikanów naturalnym kolejnym krokiem byłoby zjednoczenie PiS z ziobrowską Suwerenną Polską.

Wtedy prezes Kaczyński uroczyście ogłosiłby koniec podziałów na prawicy. A nadal młody Zbyszko mógłby zawalczyć o tron. Ale Zbyszko usunął się z czynnej polityki. Pozwolił też ogłosić, że jest ciężko chory.

Nie wszyscy w to uwierzyli. Pojawiły się spekulacje, że chce przebiegle na chorobowym uniknąć politycznego polowania na siebie. Przeczekać czas odwetów, uciec od odpowiedzialności.

Wiek kardynalski

W czerwcu prezes Kaczyński skończy 75 lat. Będzie młodszy od czynnych politycznie prezydentów USA Joe Bidena i Donalda Trumpa, ale starszy od Xi Jinpinga i Władimira Putina. Od Donalda Tuska też. Będzie najstarszym liderem dużej europejskiej partii pragnącej powrócić do władzy.

Oczywiście gdyby był katolickim kardynałem, to nie miałby już szans w konklawe, myślałby pewnie o przejściu na godną emeryturę. Taki krok Kaczyński już kilkakrotnie zapowiadał. Niedawno wspominał, że w 2024 r. odejdzie z prezesury swej partii.

Jednak zawsze wtedy chór pisowskich pochlebców sprzeciwiał się politycznej emeryturze prezesa. Bo nikt do tej pory nie scalał PiS tak skutecznie jak prezes. Ale zawsze było to w czasach sprawowania przez PiS władzy. A władza scala nawet nienawidzących się polityków. Podobnie jak wspólny majątek i dzieci niekochające się małżeństwo.

Elity PiS powoli przyzwyczajają się, że przyjdzie im żyć w opozycji. Od prezesa Kaczyńskiego oczekują, że utrzyma klub parlamentarny PiS w stanie jedności i totalnej opozycyjności. I jak najszybciej przywróci ich do ukochanej władzy.

Z punktu widzenia parlamentarzysty PiS wydaje się to możliwe, bo pomimo przegranej dzisiejsza Zjednoczona Prawica ma większą reprezentację parlamentarną oraz większe zaplecze materialne i medialne niż PiS w 2005 i 2015 r. Partia prezesa Kaczyńskiego ma poważną szansę być prawdziwie totalną opozycją, ale skazaną też na wieczne opozycjonowanie.

„Wybory samorządowe zawsze szły prawicy gorzej. Utraty części sejmików wojewódzkich należało się spodziewać tak czy inaczej (obecnie PiS rządzi lub współrządzi w siedmiu z 16 z nich)” – przewiduje bliski ideowo PiS publicysta Piotr Zaremba. Obawia się, że Wielka Koalicja Październikowa odniesie w wyborach samorządowych kolejne zwycięstwo i wyruguje PiS z wpływów w samorządach. Zwłaszcza że partia Kaczyńskiego ma etykietę formacji centralistycznej, antysamorządowej. I znów trudno będzie znaleźć jej koalicjantów w czasie kampanii wyborczej i współrządzenia po wyborach.

Rys. TOMASZ WIATER

Federaści atakują

Pewne nadzieje wiążą elity PiS z wyborami do Parlamentu Europejskiego. Chcą uczynić z nich plebiscyt. Chcą wykreować się jako obrońcy suwerenności Polski przed zdradzieckimi federastami z obozu rudego Tuska. Ale jeśli prezes Kaczyński znów zacznie tracić nerwy i z sejmowej trybuny znów będzie wyzywać premiera Tuska od niemieckich agentów, to już samym swym językiem i furiackim wyglądem odepchnie część wyborców. A resztę okołopisowskiego środowiska sprowadzi do roli wiecznie oblężonej twierdzy.

Elity PiS nie mają wiele czasu na stworzenie nowej koncepcji politycznej strategii życia w długotrwałej opozycji. Nic dziwnego, że w klubie parlamentarnym PiS pojawia się coraz więcej głosów, żeby zaplanowany na czerwiec–lipiec 2024 r. kongres, na którym Jarosław Kaczyński miałby oddać władzę w partii, przełożyć na czas po wyborach prezydenckich. Elity PiS liczą się z porażkami w wyborach samorządowych i europejskich. Całą swą nadzieję pokładają w wyborach prezydenckich.

Wierzą, że w 2025 r. polscy wyborcy zaczną odczuwać pierwsze negatywne skutki rządów premiera Tuska. Słodzą się nadzieją, że Wielka Koalicja Październikowa wystawi kilku swych konkurujących kandydatów na prezydenta RP, reprezentujących wielkomiejską warszawkę. Wtedy jeden kandydat PiS, odwołujący się do rzesz Polaków z „Końskich”, znów wygra ich głosami.

Wiarę w sukces zakłóca stan emocjonalny prezesa. Jego pogłębiające się frustracje, objawy oderwania się od politycznej rzeczywistości.

Czy prezes Kaczyński będzie skutecznie promował kandydata PiS na prezydenta? Czy trzeba już poszukać alternatywnego promotora? – szepczą w klubie parlamentarnym Zjednoczonej Prawicy.

Bambikowi nie

Przydatność lansującego się byłego premiera Morawieckiego w przyszłej kampanii prezydenckiej budzi w klubie parlamentarnym Zjednoczonej Prawicy spore opory. Jego powyborcze starania o znalezienie większości parlamentarnej okazały się jałowe, przyniosły PiS więcej wizerunkowych szkód niż pożytków. Co z tego, że kandydat na premiera wygłosił kolejne pięknie brzmiące exposé, skoro potem dowiódł swej bezsilności i politycznego osamotnienia. Zagrał rolę podwykonawcy prezesa, na dodatek niesamodzielnego i przegranego.

Niedawno Morawiecki dostał od prezesa Kaczyńskiego kolejne bojowe zadanie. Ma kierować Zespołem Pracy Państwowej. Zespół powoli się zespala.

Prezes Kaczyński zaczyna też mieć pierwsze problemy z utrzymaniem zwartości i posłuszeństwa parlamentarnego klubu. Taką przyszłość wróży mu wielce doświadczony były lider i premier Leszek Miller.

Szambo cywilnoprawności

Doniesienia o śmierci umów śmieciowych są mocno przesadzone.

Oskładkowanie ZUS-em umów cywilnoprawnych jest jednym z ponad 100 kamieni milowych, które Polska musi spełnić, by otrzymać KPO – tak od dwóch lat opowiadają media. I będą opowiadały przez kolejne dwadzieścia.

Tak też mówili kandydaci Lewicy przed październikowymi wyborami. Wykrzykiwali nawet na wiecach, że w momencie, w którym zachodzi stosunek pracy, powinny być podpisywane umowy o pracę, a nie zlecenie czy dzieło. Zaznaczając – skądinąd słusznie – że umowa o pracę gwarantuje wszelkie świadczenia, L4, płatny urlop, a w przyszłości emeryturę, więc choćby dlatego „śmieciówki” powinny być zniesione. Jako człowiek od 26 lat pracujący wyłącznie na umowie o dzieło, mogę jednak śmiało prorokować, że ani chciejstwo lewicowe, ani unijne niemal niczego w kwestii umów cywilnoprawnych nie zmieni.

Unijna dyrektywa – na którą powołują się entuzjaści automatycznego pozamieniania umów-zleceń i umów o dzieło na umowy o pracę – niczego takiego nie mówi. Chodzi w niej jedynie o poprawę warunków pracy za pośrednictwem platform internetowych. Nie odnosi się więc do większości naszych śmieciówkowiczów, a jedynie do tych pracujących dla firm takich jak Uber lub Glovo.

Mówi o tym wprost uzasadnienie do unijnej dyrektywy podkreślające kwestię faktycznej dyskryminacji z powodu formy zatrudniania: „Osoby te są szczególnie narażone na złe warunki pracy i niewystarczający dostęp do ochrony socjalnej, nie mogą one korzystać z praw i ochrony, do których są uprawnione jako pracownicy. Prawa te obejmują prawo do minimalnego wynagrodzenia, prawo do płatnego urlopu, a także lepszy dostęp do ochrony socjalnej”.

W Brukseli nie mają pojęcia o skali pozaetatowego zatrudnienia w Polsce. W cywilizowanej Europie po prostu śmieciówek nie ma. Pojawiły się dopiero wraz z amerykańskimi wynalazkami internetowymi i pracą w sieciowych platformach. Zachodnia Europa szybko zareagowała, mimo że sprawa dotknęła jakiegoś promila pracowników na jej terenie. W dyrektywie nie ma więc ani słowa o polskich umowach cywilnoprawnych – bo taki konstrukt prawny ludziom z cywilizowanych krajów po prostu nie mieści się w głowie.

Tam od 100 lat, jeśli ktoś jest zatrudniony, to ma urlop. Kiedy choruje, dostaje kasę z ubezpieczenia społecznego. A kiedy przechodzi na emeryturę, wie, że nie umrze z głodu, co grozi milionowi pracujących w Polsce. Główny Urząd Statystyczny wyliczył, że w naszym kraju na podstawie umów-zleceń i na innych śmieciówkach pracuje 2,26 mln osób. Przy założeniu, że w Polsce jest zatrudnionych prawie 17 mln ludzi – na śmieciówce jest przeszło 13 proc. pracujących. Co też jest nie do końca prawdą, bo umowami śmieciowymi dorabiają również osoby, które mają gdzieś etat. Takich według GUS jest prawie 970 tys. Jeśli tę liczbę odejmiemy od wszystkich śmieciówkowiczów, to wyjdzie, że bez prawa do chorobowego, bez urlopu i szans na emeryturę jest u nas 1,3 mln pracujących.

Ilu z nich pracuje za pośrednictwem inkryminowanych przez Brukselę platform internetowych? Pewnie nie więcej niż 5–10 tysięcy. Ich może dyrektywa unijna wybroni, a co z resztą?

Wbrew pozorom umowy, dzięki którym zatrudniając pracownika, pracodawca nie musiał za niego płacić ZUS i ubezpieczenia zdrowotnego, nie są wynalazkiem polskiego kapitalizmu. Znane jako fuchy funkcjonowały za komuny i służyły firmom korzystającym z chwilowych zewnętrznych pracowników do zgodnego z prawem zaksięgowania ich wypłat. W ten sposób redakcje rozliczały się z autorami, którzy pisali do gazet, choć pracowali zupełnie gdzie indziej. Tak płaciło się też za szkolenia ściąganym specjalnie lektorom pracującym w szkołach wyższych. Tym sposobem wydawnictwa opłacały grafików robiących książkowe ilustracje czy fotografów. Na umowy-zlecenia i o dzieło zatrudniało się też osoby pracujące w firmach do wykonywanych poza godzinami prac, których nie miały w zakresie swoich obowiązków. A ponieważ zetatyzowanie ludzi pracujących za PRL było niemal stuprocentowe, to wszyscy mieli ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne, więc nikt nie wpadł na to, żeby fuchy dodatkowo oskładkowywać.

Tak nielubiący komuny kapitalizm lat 90. przejął te przepisy z dobrodziejstwem inwentarza, no i oczywiście twórczo je rozwinął. Po cholerę firma miała zatrudniać sprzątaczki na etat, skoro mogła im płacić o wiele mniej, oferując umowę-zlecenie. Tak samo porobiło się z mnóstwem zawodów. Głównie dlatego, że wokół szalało blisko 20-procentowe bezrobocie i szukający pracy ludzie łapali się wszystkiego.

Potem bezrobocie spadało i sprzątaczek czy fachowców na śmieciówki nie dało się już zatrudniać.

Były jednak branże, w których działo się coraz gorzej. Choćby w mediach. Od ćwierć wieku czytelnictwo prasy spada. Wraz z nim nakłady. Prasa papierowa przestała być dobrym nośnikiem reklamy. Reklamodawcy nie chcą się w niej pokazywać. Oba te czynniki spowodowały, że przychody koncernów i wydawnictw prasowych poleciały na pysk. Na dodatek ponad 20 lat temu wprowadzono zasadę, żeby honoraria za teksty osób, które w danej redakcji miały etat, były oskładkowane. Przepis ten, zamiast zrobić dziennikarzom dobrze, spowodował, że redakcje wywalały z etatów, kogo mogły, lub pozyskiwały nowych dziennikarzy nie na etat, ale na umowę o dzieło. Po prostu pismak dostawał pieniądze tylko za to, co napisał. Wydawnictwa oszczędzały więc na składkach i mogły, mimo malejącej sprzedaży i wpływów z reklamy, funkcjonować dalej.

Tymczasem rozwijał się internet, a w nim portale informacyjne, które dla większości byłych czytelników gazet zaczęły stanowić główne źródło informacji. Jeśli jednak ktoś sądzi, że portale przejęły marnie zarabiających żurnalistów, to jest w błędzie. Okazało się, że w internecie jakość tekstów przestała się liczyć. Ważne były ostry tytuł i zajawka. Reszta mogła być z błędami – nawet ortograficznymi. W portalach zaczęto przyjmować ludzi, którzy chcieli zarabiać mało i oczywiście na umowę o dzieło – głównie studentów. Portale bowiem wcale nie zarabiały kokosów – i wciąż nie zarabiają, co widać choćby po tym, że za większość tekstów trzeba już płacić. Płacących jednak wcale nie przybywa.

We wszystkich mediach, z wyjątkiem osób funkcyjnych, dziennikarze dostawali grosze. Jeszcze gorzej mieli fotografowie i graficy. W sieci pojawiło się bowiem mnóstwo stron z darmowymi zdjęciami i ilustracjami, które każdy portal czy redakcja mogły sobie brać do woli.

Podobnie porobiło się w radiu. Teraz, z powodu coraz powszechniejszego nieoglądania telewizji, zatrudnionych w TV ludzi czeka to samo. Tak zwane telewizje linearne oglądają bowiem widzowie 60 plus. Reklamodawcy za chwilę przestaną się w nich promować. Pracujący tam na umowy o dzieło dziennikarze też zaczną być dla tych telewizji za drodzy.

Wyobraźmy sobie zatem, co się stanie z mediami, gdy zostanie zrealizowany pomysł Lewicy i wszystkie umowy o dzieło zostaną ozusowane, czyli koszty pracowników wzrosną prawie o połowę. Oczywiście dojdzie do armagedonu. Padnie reszta prasy drukowanej. 80 proc. radiostacji też, a w telewizjach informacyjnych będą królowały te same newsy powtarzane przez trzy dni co pół godziny.

eprasa.pl a2ff4f8b46

„Obecna kadencja sejmu nie zostanie skrócona i upłynie pod znakiem przetasowań politycznych. PiS na pewno czeka bardzo wiele wstrząsów. Nawet jeśli dziś tam się nie myśli o zmianie przewodniczącego, to z biegiem czasu zacznie się myśleć” – prognozuje Miller.

Pierwszy bunt swych posłów prezes Kaczyński już zaliczył. Podczas posiedzenia klubu PiS parlamentarzyści mieli zdecydować, czy na stanowisku wicemarszałka będzie dalej zasiadał Krzysztof Bosak. Szef klubu Mariusz Błaszczak rekomendował wolę prezesa Kaczyńskiego, aby głosować za odwołaniem Bosaka i w dodatku zarządzić dyscyplinę głosowania. Sprzeciw w imieniu parlamentarzystów zgłosił Przemysław Czarnek.

Przekonywał zebranych, że PiS nie może takiego wniosku poprzeć, bo wtedy nie będzie mógł liczyć na współpracę z Konfederacją. Nie zyska zdolności koalicyjnych.

Dlatego klub PiS nie wziął udziału w głosowaniu. Przeciwko odwołaniu Bosaka głosował też jeden poseł PiS, Jan Krzysztof Ardanowski.

W ten sposób poseł Czarnek zyskał uznanie w Konfederacji i publiczne ciepłe słowa Ewy Zajączkowskiej-Hernik, rzeczniczki prasowej tej partii.

Czy Czarnek wystartuje w wyścigu do fotela prezesa PiS?

Na razie pewnie jeszcze nie. Wśród parlamentarzystów PiS panuje przekonanie, że do wyborów prezydenckich muszą zachować jedność, czyli prezesurę Jarosława Kaczyńskiego. Choć to jego osoba odstrasza wszystkich potencjalnych koalicjantów.

Ale prezes Kaczyński nie musi mieć tak absolutnej władzy jak niedawno. Można skopiować model znany z ballady Wojciecha Młynarskiego o ukochanej babci. Trzymać się zasady: „Lecz dokładnie informować babci nikt nie śpieszy, po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy”.

I z lekko ubezwłasnowolnionym prezesem oczekiwać wyborów prezydenckich. A potem, niezależnie od ich wyniku, budować nową koalicję narodowoprawicową już bez prezesa Kaczyńskiego. Z udziałem jego spadkobierców.

PIOTR GADZINOWSKI

Dzisiejsze śmieciówki to głównie domena sektora prywatnego: 89,6 proc. Tyle że w sektorze publicznym niemal nikogo nie zatrudnia się na śmieciówce, każąc mu pracować, jak gdyby był na etacie. Państwówka ma bowiem kasę. Ludzi wykonujących robotę przez kilka godzin dziennie na umowach cywilnoprawnych zatrudnia sektor prywatny. Niemal jedna czwarta osób z umową o dzieło pracuje w informacji i komunikacji, czyli mediach. Co piąty osobnik tworzący dzieła znalazł się w szufladzie określanej jako „działalność profesjonalna, naukowa i techniczna”. To pojemna działka mieszcząca zarówno uczelnianych wykładowców, jak i informatyków utrzymujących sieci komputerowe w małych firmach, specjalistów od grafiki komputerowej, ale i złote rączki, potrzebne w firmach do naprawienia kranu, prądu czy wymiany drzwi. Dzieło tych ostatnich nie polega jednak oficjalnie na remontach, lecz na opracowaniu programu naprawczego.

Oczywiście na cywilnoprawnych umowach o dzieło są też grajkowie, aktorzy, piosenkarze, tancerze i wszelkiej maści hostessy i modelki. Ludzie, którzy miewają robotę raz na kilka dni i dostają za nią i tak grosze. Jeśli od tych pieniędzy państwo potrąciłoby ZUS, to ludziom tym prawie nic by nie zostało. Jeśli jednak państwo każe pracodawcom ubruttowić składki, czyli de facto podnieść firmom wydatki na takich pracowników, to większość z nich roboty w swoim fachu już nie znajdzie.

Okradanie ciężko pracujących ludzi z urlopu, zasiłku chorobowego i emerytury jest świństwem. Czy jednak pozbawienie prawie półtora miliona ludzi śmieciowej pracy byłoby dobrym wyjściem z tego zaklętego szamba?

TADEUSZ JASIŃSKI

Rys. TOMASZ WIATER

Prześladowcy prześladowani

Ordo Iuris na wojnie o wolność słowa.

Organizacja katoprawackich ultrasów pod huczną nazwą Instytut Kultury Prawnej Ordo Iuris, przejęta planami nowego rządu wprowadzenia ustawowych regulacji dotyczących mowy nienawiści, wieszczy, że jeżeli rząd wprowadzi te plany w życie, zaczną się w Polsce prześladowania za poglądy. Tak jakby do tej pory ich nie było.

W alarmistycznym tekście „Kolejny pracownik zwolniony za poglądy w Polsce!” opublikowanym 20 stycznia na portalu internetowym Ordo Iuris (materiał nie ma autora, z czego można wnioskować, że dumała nad nim cała siła intelektualna OI) fundamentaliści informują o rzekomym kolejnym pracowniku, bliżej nieokreślonym panu Adamie, zwolnionym za poglądy z bliżej nieokreślonej firmy z tak zwanej branży IT. Powołują się przy okazji na wcześniejszy przypadek Janusza Komendy zwolnionego w 2019 r. z Ikei za homofobię. Obecnie zwolniony pan Adam podobno nie zgodził się na narzucony przez firmę – jak twierdzi OI – udział pracowników w Paradzie Równości.

Informacja ta jest właściwie tylko przyczynkiem do ordoiurisowych dywagacji na temat prób ograniczenia wolności słowa poprzez wprowadzenie penalizacji tak zwanej mowy nienawiści. Przypomnijmy, że kwestia ta znalazła się w umowie koalicyjnej podpisanej przez KO, Trzecią Drogę i Lewicę, więc rząd koalicji – mniej lub bardziej opieszale, ale jednak – będzie jakoś tam starał się to wprowadzić w życie. Uściślijmy, że chodzi o mowę nienawiści ze względu na orientację seksualną oraz tożsamość płciową i ekspresję płciową. Po polsku znaczy to, że każdego, kto nazwie kogoś na przykład zboczeńcem, dewiantem, zarazą albo ideologią z powodu jego nienormatywnej orientacji seksualnej lub tożsamości płciowej, będzie można postawić przed sądem, by za swe słowa karnie beknął.

Cenzura uczuciowa

„Opisana sprawa Pana Adama to jawny przykład, że już dziś mamy w Polsce do czynienia z cenzurą czysto ideologiczną i światopoglądową” – pisze Ordo Iuris. I trudno się z tą opinią nie zgodzić, jednak my nie upatrywalibyśmy akurat w przypadku pana Adama jej potwierdzenia. Możemy za to przypomnieć choćby wypadki z wiosny 2023 r., kiedy to najpierw wójt Orlenu, a jego śladem jakiś gryzipiór z Poczty Polskiej ograniczyli dystrybucję tygodnika „NIE”, bo nie spodobała im się okładka (przedstawiająca Dżejpitu z krzyżem, na którym wisiała ukrzyżowana lalka). A zatem imć Obajtek oraz jego mentalny kumpel z Poczty Polskiej uznali, że ponieważ nasza okładka jest niezgodna z ich przekonaniami, to mogą ograniczyć szerzenie krytycznego poglądu na pedofilię w Kościele kat. i udział w tym procederze Dżejpitu (do czego aluzją była rzeczona okładka). No to, drodzy państwo z OI, czym to jest, jak nie ideologiczno-światopoglądową cenzurą?

A kilka procesów o tzw. obrazę uczuć religijnych, które odbyły się w wolnej Polsce, pamiętacie? Nie? My pamiętamy. Wszak samego Urbana kilkakrotnie o to ciągano przed sądy. Choćby za legendarne już dziś „Obwoźne sado-maso”.

Rys. WIDGET

A Mieczysława Morkę, historyka sztuki, który ujawnił prawdę o tzw. kolekcji Porczyńskich pamiętacie? Nie? My pamiętamy. Czołgano go latami przez wszystkie możliwe sądy tylko dlatego, że ośmielił się zakwestionować wartości czegoś, co otrzymało imię Jana Pawła II i zostało ofiarowane – jak głosił napis na niegdysiejszej siedzibie kolekcji – „Kościołowi i narodowi” (tak, w tej kolejności!). Morkę ścigano co prawda nie względem obrazy uczuć religijnych, ale jak najbardziej w klimacie, bo dotknął niepodważalnej świętości czegoś, co było poświęcone panu papieżowi Polakowi. Notabene dziś po tej „wspaniałej” kolekcji śladu nie ma i w ogóle nie bardzo wiadomo, co się z tymi „wybitnymi” dziełami stało.

A pamiętacie „prostackiego wikarego z Niegowici”, jak o Dżejpitu napisał w „Trybunie” w 1997 r. Zbigniew Wiszniewski? I niejakiego księdza Zdzisława Paszkowskiego, który natychmiast pobiegł do sądu, oskarżając i Wiszniewskiego, i gazetę o obrazę uczuć religijnych? Nie? My pamiętamy. Proces też ciągnął się latami.

A o tęczowych maryjkach, aureolach, świętych waginach, tęczy wpisanej w tak zwane barwy narodowe czy też Chrystusie obleczonym w tęczę i różnych podobnych przejawach twórczości aktywistycznej spod znaku feminizmu i LGBT pamiętacie? Nie? My pamiętamy. I wychodzi nam, że kilka procesików o obrazę uczuć religijnych z tego też było i jest.

To tylko kilka głośnych spraw z wielu, jakie w Polsce, podobno wolnej, w ciągu ostatnich trzech dekad się wydarzyły.

Kto obraża...

Kluczem do nich jest artykuł 196. Kodeksu karnego mówiący o tym, że kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce służące do wykonywania kultu religijnego, tego czeka perspektywa oglądania świata w kratę do dwóch lat, ewentualnie konieczność wyskoczenia z grubszej kaski. Mówiąc krótko, jest to taki przepis o penalizacji mowy nienawiści, tylko w drugą stronę.

Dodanie do Kodeksu karnego orientacji seksualnej i tożsamości płciowej jako cech chronionych przed mową nienawiści stwarzałoby ideologiczną równowagę w prawie. Byłoby wtedy po równo: prawaki i katole (z hierarchami włącznie) nie mogą jeździć po społeczności LGBT i wszystkich, których z racji tych cech uważają za lewaków, a wszelkiej maści lewactwo nie może obrażać uczuć religijnych (czymkolwiek one są) katoprawactwa. I nawzajem się szanujemy.

Dlaczego zatem katoultrasy dziwią się, że strona ideologicznie przeciwna, wobec której często uciekano się do stosowania art. 196. kk, domaga się wprowadzenia takiej równości? Jeżeli czują, że ich wolności zostaną przez to ograniczone i nie będą już mogli swobodnie jeździć po LGBT jak po łysej kobyle, to zróbmy deal: nie wprowadzajmy do kk penalizacji mowy nienawiści z żadnych przesłanek, ale usuńmy z niego także artykuł 196. Będzie sprawiedliwie i wtedy będziemy się słownie napierdalać do woli. Każdy każdemu będzie mógł mówić: „Ty gupi pedale!” lub przezywać w równie wytworny sposób, ale też różne cipy maryjne tudzież piosnki o tym, że papież ma łupież, będą uchodzić płazem.

No bo na razie tej równości nie ma. A katoprawacka fundamentalistyczna organizacja utyskująca, że tym, którzy mają narzędzie kontroli wolności słowa w postaci obrazy uczuć religijnych, ograniczy się możliwość obrażania innych, zakrawa na hucpę. I mieści się w tradycyjnym katoprawackim pojęciu wolności (w tym wolności słowa), które sprowadza się do tego, że wyznawcy tego nurtu zawsze czują się prześladowani, gdy zabrania im się prześladować innych.

OI pod paragrafem

Ordo Iuris, protestując przeciwko penalizacji mowy nienawiści, pozoruje, że działa w społecznym interesie, w trosce o wolność słowa dla wszystkich. W gruncie rzeczy robi to jednak głównie w interesie własnym i swoich akolitów. Jeżeli bowiem taki zapis znajdzie się w prawie, to na większości obywateli Najjaśniejszej nie zrobi to specjalnego wrażenia. Większość bowiem nie jest w żaden sposób zainteresowana obrzucaniem kalumniami osób LGBT. Jest to za to ulubiona rozrywka katoprawackiej ekstremy w rodzaju różnego szczebla funkcjonariuszy Kościoła kat., chłopców z brunatnych organizacji oraz instytucji takich jak OI. Broniąc bezkarnej możliwości lżenia osób LGBT, tak naprawdę OI broni siebie, bo ataki na środowisko LGBT to sens istnienia tej organizacji. Mało kto zrobił w ostatnich latach w Rzeczypospolitej tyle na rzecz prześladowania środowisk LGBT. No, może nie tak spektakularnie jak Duda, Jędraszewski czy Wielki Kurdupel, ale za to metodycznie, systematycznie i konsekwentnie. Jeżeli zaś wprowadzona zostanie odpowiedzialność karna za mowę nienawiści ze względu na orientację seksualną i tożsamość płciową, to

wówczas niemal wszystko, co robi OI, będzie podpadać pod paragraf. A zatem instytucja ta straci rację bytu lub będzie permanentnie, zbiorowo i w warunkach recydywy pierdzieć w pasiaki.

Problem, czym jest wolność słowa, gdzie się zaczyna i kończy, to zagadnienie na oddzielny materiał. Osobiście nie jestem fanatyczną zwolenniczką penalizacji mowy nienawiści (skłaniam się raczej do wprowadzenia odpowiednich przesłanek do kategorii przestępstw motywowanych nienawiścią), ale dopóki istnieje art. 196. kk, będę się opowiadać za jej wprowadzeniem. Właśnie dlatego, że nie zgadzam się na tę nierównowagę powodującą, że uprzywilejowana większość może śmiało kontrolować wolność słowa i praktycznie prowadzi swoją własną cenzurę ideologiczno-światopoglądową, a druga strona nie może właściwie nic. Najchętniej zaś widziałabym w ogóle wzajemny szacunek i akceptację dla odmienności światopoglądowej oraz pozbycie się tych wszystkich wzajemnie ograniczających paragrafów z kodeksów. Tyle że to w Polsce wydaje się kompletną abstrakcją.

EDYTA BAKER

eprasa.pl a2ff4f8b46

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jarosław Szymczyk to najzabawniejszy dowódca policjantów w dziejach Polski. Przeszedł do historii po tym, jak nieomal wysłał w kosmos budynek Komendy Głównej Policji, bo postanowił sprawdzić, jak działa granatnik, który dostał w prezencie w Ukrainie. Szymczyk myślał, że granatnik to głośnik…

Jeśli Szymczyk jest najzabawniejszym komendantem, to jego przełożony, Mariusz Kamiński, musi być najzabawniejszym ministrem spraw wewnętrznych i administracji w historii. Mimo afery granatnikowej minister obdarzył komendanta wielotysięcznymi nagrodami pieniężnymi.

Gdy Kamiński stał się kryminalistą i trafił do pudła, Szymczyk napisał list do ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. W liście tym policjant chwali swojego byłego szefa i prosi ministra, żeby go zwolnił z mamra. „Bardzo proszę pana ministra jedynie o to, aby mając na względzie niekwestionowaną wzorową służbę na rzecz Polski pana ministra Mariusza Kamińskiego, patrząc przez pryzmat decyzji o ułaskawieniu go przez pana prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej, ale przede wszystkim przez pryzmat jego zdrowia, zechciał pan ponownie rozważyć możliwość zwolnienia pana ministra Kamińskiego z odbywania kary w zakładzie karnym do czasu ostatecznych rozstrzygnięć w tej sprawie” – napisał Szymczyk, gramatyka i interpunkcja oryginalne.

Szymczyk myśli pewnie, że gdy on znajdzie się w więzieniu (choćby za grandę z granatnikiem), to Kamiński, a może i jego prorektor prezydent Andrzej Duda staną w jego obronie. Jeśli, oczywiście, wcześniej Szymczyk nie postrzeli się śmiertelnie. Procą.

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie w stanie spoczynku (znaczy obecnie na emeryturze) Wiesława B. została obwiniona o uchybienie godności urzędu. Uchybienie było w 2017 r., kiedy jeszcze na emeryturze nie była. W celu osiągnięcia korzyści na okładkach książek sprzedawanych w hipermarkecie w miejscu ceny 14,99 zł przykleiła naklejki z wartością 4,99 zł. Były to przewodniki turystyczne: „Izrael”, „Praga”, „Transylwania i Marmarosz”. Naraziła tym samym sprzedawcę na straty wynoszące 30 zł. Obecnie sprawa zakończyła się przed Sądem Najwyższym. W trybie dobrowolnego poddania się karze sąd obniżył prawniczce emeryturę o 20 proc. przez okres 1 roku.

▮ Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów wybory samorządowe odbędą się 7 i 21 kwietnia. W tym pierwszym terminie wybierać będziemy radnych, burmistrzów, starostów i prezydentów. Dwa tygodnie później wybierzemy tylko burmistrzów, starostów i prezydentów, jeżeli niewybrani zostaną oni w pierwszej turze, czyli nie uzyskają ponad 50 proc. oddanych głosów.

▮ Rozpoczął się bezterminowy strajk generalny maszynistów Warszawskiej Kolei Dojazdowej (WKD). To jest taka kolejka przewożąca ludzi ze wsi do miasta, żeby mogli sobie tam popracować. Strajk polega na tym, że w godzinach szczytu (6.00–8.00 i 15.00–17.00) kolejki nie kursują, kurwa mać! Maszyniści domagają się 800 zł podwyżki (chyba netto), a ja nie mam czym dojechać do redakcji, w mordę jeża!

▮ Historia wyzysku człowieka przez człowieka w sieci sklepów Biedronka wzbogaciła się o kolejny epizod. Z pracy dyscyplinarnie wyrzucona została kasjerka, ponieważ nie zarejestrowała na kasie zgrzewki mleka za 32 zł. Klient intencjonalnie zasłonił produkt w koszyku siatką na zakupy. Sąd Okręgowy w Gdańsku uznał, że zwolnienie było nieuzasadnione, i zasądził dla zwolnionej odszkodowanie, tak samo zresztą jak sąd pierwszej instancji w Malborku.

▮ Ewa Potok, wysiadając z autobusu krakowskiej MPK w podkrakowskim Kocmyrzowie, złamała nogę. Przeszła kilka metrów. Upadła w zaspę śniegu. Mimo że posiadała włączony telefon komórkowy, przez 24 godziny służbom policyjnym i wywiadowczym nie udało się jej odnaleźć. Zmarła z wyziębienia. Tyle jest warta ta inwigilacja po polsku.

▮ Policjanci z Ostrołęki zatrzymali pijanego kierującego samochodem, który pozbawiony był opon na przednich kołach. Uwagę funkcjonariuszy przykuły iskry wywołane tarciem felg o asfalt. W samochodzie jechała trójka małych dzieci oraz ich matka, podobnie jak kierowca pijana. Ani matka, ani ojciec nie mieli prawa jazdy. Gdyby nie ta policja, zapewne szczęśliwie dojechaliby do domu.

▮ W kościele św. Antoniego w Knurowie-Krywałdzie odprawiono mszę za zmarłego w 2009 r. Michaela Jacksona. Kanclerz kurii w Katowicach ks. Tomasz Wojtal potwierdził, że intencja zamawiającej mszę była dobra i godziwa. Przypominamy, że Michael Jackson był pomawianym o pedofilię świadkiem Jehowy, który został zabity nieumyślnie przez swego lekarza środkami nasennymi. Zarabiał muzykowaniem.

▮ Przez szklaną witrynę do sali zabaw żłobka przy ul. Strzeszewskiego w Lublinie wjechało porsche, kierowane przez 53-letnią trzeźwą kobietę. Kierująca tłumaczyła, że podporządkowała się znakowi zakazu zatrzymywania i postoju, stojącemu przed budynkiem. Zatem, co logiczne, nacisnęła gaz zamiast hamulca, myśląc, że sprawy jakoś same się ułożą. Jakoś się ułożyły.

▮ Podczas pogłębiania basenu portowego przy ul. Piwnej we Włocławku z dna Wisły wydobyto miecz z IX w. Broń jest silnie skorodowana, ale w stanie, który już pozwolił na ocenę, że może mieć więcej niż 1000 lat. Pochodzi z początków naszej państwowości – powiedział Wojciech Sosnowski z Urzędu Ochrony Zabytków w Toruniu. Wygląd miecza wskazuje, że przywieziono go ze Skandynawii, więc mógł być kupiony w IKEA.

▮ Para nastolatków chciała kupić napój energetyzujący w sklepie Żabka w Oleśnicy. Ekspedienci odmówili, ponieważ zgodnie z nowymi przepisami klienci nie mogli okazać dowodu pełnoletności. W rezultacie tej odmowy personel został opluty, skopany i wyszarpany za włosy. Poszły też w ruch miotacze gazu łzawiącego, w które wyposażone były obie strony. Jest to dowód na sprawiedliwość nowego prawa, które uznało napoje energetyzujące za skrajnie niebezpieczne.

▮ Rząd zamierza zlikwidować instytucję Państwowego Gospodarstwa Wodnego „Wody Polskie”, która była regulatorem stawek proponowanych przez gminy w zakresie wysokości opłat za wodę i ścieki. Zdaniem komentatorów może to spowodować drastyczny i niekontrolowany wzrost owych stawek w samorządach. Biorąc pod uwagę, że koszt funkcjonowania Gospodarstwa Wodnego to ok. 3 mld zł rocznie, a środki pochodzą głównie z gminnych spółek wodno-ściekowych, specjalnie byśmy się tą likwidacją nie przejmowali.

▮ Szymon Ziobrowski, dyr. Tatrzańskiego Parku Narodowego, podniósł całodzienne opłaty parkingowe na Łysej Polanie i Palenicy Białczańskiej do 45 zł w dni robocze i 55 w nierobocze. Popyt zdecydowanie przerasta podaż miejsc parkingowych, więc ceny zgodnie z rynkowymi zasadami muszą rosnąć. Dyrektor Ziobrowski zastrzegł, że rozważa się wprowadzenie „opłat dynamicznych”(?!). Cokolwiek to znaczy, wynosić ma 75 zł. Aby ulżyć Ziobrowskiemu, a i siebie nie dociążać, po prostu tam nie jedźcie.

▮ Mała żyrafa została powita w łódzkim ogrodzie zoologicznym przez dużą żyrafę wabiącą się Uzuri. Mała żyrafa ma 1,8 m wzrostu od urodzenia. Jest chłopcem, ale odtrąconym przez matkę i przez ojca. W każdym razie mieszkające w ogrodzie samce żyraf nie poczuwają się do rodzicielstwa. Każdy się zachowuje, jakby nigdy nic. Tomasz Jóźwik, nadworny zoologiczny lekarz, obiecuje, że będzie młodemu matką i ojcem.

R.J.

PS Informacje pobrano z prasy lokalnej jako potencjalnie zajmujące dla szerokiej opinii publicznej, co jednak nie znaczy, że muszą być absolutnie prawdziwe. Nie bierzemy za nieprawdę żadnej odpowiedzialności.

Posłowie PO bronią szarlatanów.

W kleszczach ILADS

Nowy rząd, chcąc zetrzeć fekalne standardy pisowskiego reżimu, tak bardzo otworzył się na obywateli, że wpuścił lisa do kurnika. Posłowie Platformy Obywatelskiej wysłali do Ministerstwa Zdrowia interpelacje powielające pseudonaukowe hipotezy dotyczące leczenia boreliozy. Środowiska lekarskie biją na alarm, te lobbujące na rzecz leczenia metodą ILADS otwierają szampana.

Przyjdzie kleszcz i cię zje

Wyśmiewane do rozpuku zagrożenia klimatyczne wpływają na dynamikę chorób zakaźnych przenoszonych przez wektory, wodę, żywność, gryzonie i powietrze. Najbardziej znanymi chorobami wektorowymi w Polsce są borelioza z Lyme oraz kleszczowe zapalenie mózgu. Systematyczne ocieplanie klimatu ma wpływ na cykl rozwojowy roznoszących je pajęczaków – produkcję jaj, gęstość populacji i rozmieszczenie.

Dodatkowo czynniki klimatyczne determinują aktywność ludzi przebywających na terenach, na których ryzyko ataku kleszczy jest wyższe. Krótko mówiąc, w ciągu ostatnich 20 lat o wiele łatwiej wrócić z zielonej trawki z niechcianym pasażerem na gapę i dorobić się syfa.

Borelioza nie bez powodu wzbudza panikę. Zakażenie bakterią *Borrelia burgdorferi* może mieć przykre konsekwencje zdrowotne, jeśli tak kurtuazyjnie można nazwać wieloukładową chorobę zakaźną, w skrajnych przypadkach prowadzącą do kalectwa i śmierci. Rosnąca z roku na rok liczba zachorowań w zderzeniu z zawiłościami polskiego systemu opieki zdrowotnej niechcący wykształciły pole manewru dla odkleszczowego biznesu – leczenia tzw. metodą ILADS (International Lyme and Associated Diseases Society – Międzynarodowe Towarzystwo Boreliozy i Chorób Towarzyszących). Jej specjaliści tak bardzo zaangażowali się w walkę z boreliozą, że zaczęli ją stwierdzać wszędzie tam, gdzie zaplątał się kleszcz, a lekarze rozkładali ręce. Jak gówna po odwilży zaczęły wyrastać kliniki i gabinety specjalizujące się w „zdobywającej popularność wśród medyków z całego świata” metodzie leczenia boreliozy i zakażeń współistniejących. Pod ukierunkowaną na „całościową opiekę nad chorym” metodą ILADS krył się maraton wielomiesięcznej, a niekiedy i wieloletniej antybiotykoterapii opartej na mnogiej kombinacji silnych leków. Choć pseudoterapia do tanich nie należała, chętnych nie brakowało. Zdesperowani szeregiem przypadłości i brakiem diagnozy chorzy trafiali pod opiekuńcze skrzydła „fachowców”, którzy krok po kroku przeprowadzali ich przez szereg procedur medycznych, aby finalnie stwierdzić zakażenie krętkiem *Borrelia*. A często – jak się miało niebawem okazać – nawet wmówić chorobę.

Bokser leczy

W lipcu ubiegłego roku światło dzienne ujrzał radiowy serial redaktora Michała Janczury „Podziemie”, będący efektem wielomiesięcznego śledztwa dziennikarzy TOK FM. Materiał pokazał, że biznes oparty na metodzie ILADS bardziej jednak synchronizuje się z kręceniem foliarskich lodów i karmieniem iluzją za ciężki hajs niż z prawdziwą medycyną. W kolejnych odcinkach przedstawiono historie pacjentów, któ-

Informacja, że nie wyprodukowano ani jednej izery, to świetna wiadomość.

Ślepą

Projekt polskiego samochodu elektrycznego pochłonął około pół miliarda złotych. Zarobili przede wszystkim menedżerowie i pracownicy. Pieniądze te nie przełożyły się na realne efekty w postaci choćby jednego sprzedanego samochodu. Żeby bowiem można było je produkować, należałoby zainwestować w ten biznes jeszcze kilka miliardów złotych.

Polskie, czyli chińskie

Odpowiedzialna za polskiego elektryka spółka Electromobility Poland wciąż wkłada dużo wysiłku w kampanię medialną, która ma – wedle jej pomysłodawców – uratować firmę przed likwidacją.

A przecież były szumne zapowiedzi, konkursy, prezentacje, wielkie budżety, wspaniałe konferencje prasowe, prestiżowa lokalizacja biura w centrum Warszawy. Spółka finansowana początkowo przez spółki energetyczne, a potem przez budżet państwa obiecywała cuda. Gdy startowała, mówiła, że owocem jej działalności będzie czysto polski samochód elektryczny. Potem polska myśl techniczna ustąpiła myślom kilku firm zachodnioeuropejskich, by wreszcie zaowocować współpracą z koncernem Geely, co skończyło się montażem chińskich elektryków w Polsce. Teraz zaś okazało się, że koncern Geely nie chce już współpracować z EMP. Pewnie dlatego, że dowiedział się, iż projekt Izera nie będzie kontynuowany przez obecny rząd.

W przeciwieństwie do PiS u Tuska ktoś puknął się w czoło i skonstatował, że polski rynek samochodów elektrycznych jest zbyt mały, aby utrzymać fabrykę, która musiałaby konkurować z największymi producentami na świecie. Nie wspominając już o tym, że montaż aut na prąd ze sprowadzonych z Chin podzespołów nie ma żadnego sensu ekonomicznego.

Przekłuty balonik

Okazuje się jednak, że na opóźnieniu w elektromobilności możemy wyjść całkiem dobrze. Bo elektryki przez większość krajów, które się nimi zachłysnęły przed laty, są postrzegane jako dopust boży. Badania pokazują choćby, że pojazdy elektryczne obecne na rynku od co najmniej pięciu lat charakteryzują się największym spadkiem wartości spośród wszystkich głównych kategorii pojazdów. Czyli kilkuletni elektryk jest do kupienia za grosze. A i tak nikt go nie kupi, bo jego zasięgi przy starej baterii pozwalają mu jedynie na przejechanie kilku kilometrów.

Amerykańscy dealerzy samochodowi od miesięcy alarmują, że leci na pysk zainteresowanie nabywców samochodami elektrycznymi. Znalezienie chętnego na auto z wtyczką zajmuje teraz dwa razy więcej czasu niż rok temu. O tym, że Amerykanie traktują samochody elektryczne w kategorii wynalazków dla ekscentryków, najlepiej świadczą jednak dane z rynku wtórnego. Średni czas potrzebny na sprzedaż używanego auta elektrycznego wzrósł przez rok ponaddwukrotnie – z 26,4 do 57,8 dnia – mimo że w tym czasie średnie ceny spadły o blisko 40 proc.

Okazuje się też, że użytkownicy samochodów elektrycznych w Stanach przejeżdżają nimi przeciętnie krótsze dystanse niż kierowcy aut spalinowych. Analiza danych z liczników blisko 13 mln samochodów pokazała, że w latach 2016–2022 kierowca auta elektrycznego przejechał w USA rocznie prawie 11,5 tys., a spalinowego ponad 18,5 tys. km. Dlaczego? Bo samochód na prąd jest samochodem rezerwowym, używanym tylko do przemieszczania się na bardzo krótkich dystansach. Jest więc zabawką dla bogatych i służy za trzeci pojazd w domu.

W Europie podobnie. Ponad połowa niemieckich kierowców, która przesiadła się do samochodów elektrycznych, nie jest z tego zadowolona. Głównie z powodu kosztów ładowania – czasem wyższych od ceny paliwa niezbędnego

eprasa.pl a2ff4f8b46

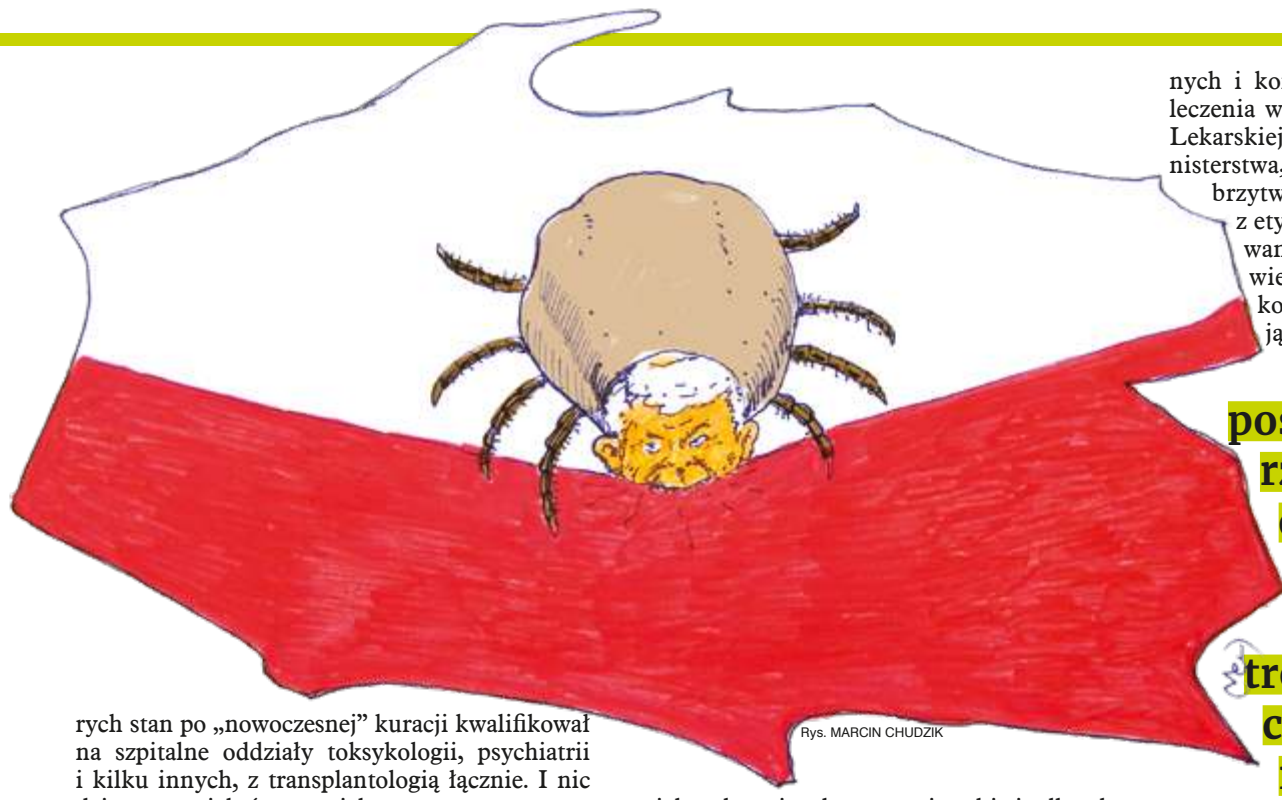

Rys. MARCIN CHUDZIK

rych stan po „nowoczesnej” kuracji kwalifikował na szpitalne oddziały toksykologii, psychiatrii i kilku innych, z transplantologią łącznie. I nic dziwnego, niektórzy z nich w szczytowym momencie pseudoleczenia brali po kilkadziesiąt tabletek dziennie. W tym miejscu warto zaznaczyć, że długotrwała antybiotykoterapia może powodować m.in. zaburzenia flory jelitowej człowieka i zakażenia *Clostridium difficile*, uszkodzenia wątroby, nerek, układu kostnego etc. O antybiotykooporności nie wspominając. Dziennikarze spenetrowali zakamarki potężnego alternatywnego systemu medycznego zbudowanego na siatce zaufanych lekarzy, diagnostów i farmaceutów. Mechanizm pozyskiwania klientów był banalnie prosty: każdy udręczony upierdliwymi dolegliwościami niewiadomego pochodzenia pacjent trafiał w końcu do doktora Google, a stamtąd do którejś z licznych grup w social mediach, skupiających siostry i braci w podobnym cierpieniu. Dalej było z górki, bez kolejek i w sympatycznej atmosferze wzajemnego zrozumienia w nieszczęściu polecano sobie specjalistów. Chorzy trafiali na badania do konkretnych laboratoriów, których niesprawdzone techniki diagnostyczne kwalifikowały do turboantybiotykoterapii, choć ta była im potrzebna jak trumna na sprężynach. Koszty badań były tak wysokie, że często pacjenci byli zmuszeni do zakładania zbiórek pieniężnych na ich opłacenie, ale czego nie robi się dla zdrowia. W odpowiedzi na tabuny chorych pączkowały fundacje. Jak wykazali dziennikarze, współtwórca jednej z nich – Akademii Boreliozy – były pięściarz Michał Szebestik otworzył dodatkową działalność pod nazwą „Pogotowie odkleszczowe”, gdzie umawiał pacjentów na wizyty i udzielał porad w związku z chorobami przenoszonymi przez kleszcze. Gwoli ścisłości, eksbokser nie studiował między walkami medycyny…

Nieśmiałość ministra

Wydawało się, że chuj w bombki strzelił, kiedy „Podziemie” ujrzało światło dzienne. Niestety tylko pozornie. Resort zdrowia zareagował jak prawiczek w burdelu – niby chciał, ale działał niemrawo.

W opublikowanym w sierpniu ubiegłego roku przez biuro prasowe MZ oświadczeniu napisano: „Nie ingerujemy w poszczególne decyzje kliniczne lekarzy, którzy prowadzą leczenie pacjentów w Polsce. Jednak amerykańskie Center for Desease Control (CDC), European Center for Desease Control (ECDC), Polskie Towarzystwo Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych i konsultanci krajowi nie uznają metod leczenia wg ILADS”. Eksperci Naczelnej Izby Lekarskiej, nie oglądając się na kurtuazję ministerstwa, spuścili majstrów od ILADS po brzytwie, uznając tę metodę za niezgodną z etycznym i prawnym nakazem wykonywania zawodu lekarza zgodnie z aktualną wiedzą medyczną. Szef NIL Łukasz Jankowski zadeklarował, że lekarze stosujący ILADS zostaną ukarani.

Równolegle swoje

postępowanie wszczął rzecznik praw pacjenta i nie pierdolił się w tańcu. Po pierwszych kontrolach wydał 20 decyzji w sprawie lekarzy stosujących niestwierdzone naukowo metody leczenia boreliozy. Zdaniem RPP wszyscy łamali prawa pacjenta, za co grozi im kara pół miliona złotych.

Sprawą boksera, domorosłego specjalisty od chorób kleszczowych, na początku stycznia zajęła się katowicka prokuratura.

Wicemarszałek walczy o wolność

I kiedy wydawało się, że sprzątanie antybiotykowego burdelu nabiera rozmachu, okazało się, że wicemarszałkini sejmu Monika Wielichowska 22 grudnia złożyła do nowej minister zdrowia Izabeli Leszczyny w sprawie ILADS interpelację. „Pani Minister, czy resort przywróci wolność wyboru metody leczenia boreliozy, zarówno przez lekarzy, jak i każdego pacjenta?” – pyta na końcu dokumentu jakby skrojonego z folderu reklamowego szemranych przychodni. Argumenty: spór w nauce, równorzędne metody leczenia, ograniczanie pacjentów…

Tego samego dnia na internetowej stronie wspomnianej już Fundacji Akademii Boreliozy nastąpiła ejakulacja radości.

Środowisko lekarskie dostało wkurwu, Wielichowska problemu nie widzi. Jak się okazuje, nie tylko ona dała się nabrać na fałszywe smutne oczy podziemnego konsorcjum. „Do biur poselskich przychodzi wiele listów, zapytań od samorządów, instytucji, NGO czy często indywidualnych osób. Ich tematyka jest przeróżna i dotyczy wszelkich dziedzin. W olbrzymiej części trudno na nie odpowiedzieć ze względu na brak szczegółowej wiedzy w danym temacie. Moje biuro nie wyrzuca pism, które przychodzą, do kosza. Kiedy nie są anonimowe, nie zostawiamy pytań bez odpowiedzi. […] Kiedy na złożone pytanie przychodzi odpowiedź z resortu, który ma pełną wiedzę w danym temacie, odsyłamy je pytającym. Na tym kończymy sprawę” – tłumaczyła w serwisie X Wielichowska. Jeden z lekarzy zareagował zapowiedzią, że poprosi o interpelację w sprawie zgody na terapię opartą na trzech zdrowaśkach w piecu. I pewnie można by machnąć ręką na sztubacką nieuwagę początkującej wicemarszałek, gdyby nie kolejny poselski babol wydłubany przez Janczurę. Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi do Ministerstwa Zdrowia podobna interpelacja trafiła spod ręki posła PO Aleksandra Miszalskiego. Żeby było śmieszniej, sam Miszalski przyznał podczas jednej z audycji w Radiu Rebeliant, że treść interpelacji przesłała mu znajoma za pośrednictwem Facebooka. Znajomą okazała się Ewa Leszczyńska, aktywnie działająca na rzecz lobby medycznego podziemia, czego dowody można bez trudu znaleźć w licznych wpisach w social mediach. Po nagłośnieniu sprawy poseł PO zmienił linię obrony, tłumacząc we wpisie na portalu X, że działał na prośbę kilku chorych cierpiących na boreliozę i jej powikłania… Bez względu na dalsze losy wspomnianych interpelacji stały się one pożywką dla najbardziej zainteresowanych. Wiele wskazuje na to, że patogen ILADS nie zniknie prędko z polskiego krajobrazu, a podziemie równoległej medycyny będzie wzorem kleszcza czekało na swój moment.

IDALIA DUBICKA

uliczką pod prąd

do przejechania tego samego dystansu – ale też dlatego, że wypad elektrykami w trasę stał się mordęgą z powodu konieczności ciągłego ładowania akumulatora.

Co gorsza, ceny samochodów elektrycznych wciąż pozostają bardzo wysokie. W Wielkiej Brytanii elektryki są średnio o 33 proc. droższe niż ich spalinowe odpowiedniki. Gdzie indziej zaczyna być podobnie, bo poszczególne kraje przestają dopłacać kupującym do nowych elektrobryczek. Rok temu przestały obowiązywać ulgi na auta elektryczne w Norwegii. Niemcy w sierpniu zniosły dopłaty do elektryków dla firm. Od początku stycznia ulgi na takie samochody zlikwidowała Szwajcaria, tłumacząc to tym, że „specjalne traktowanie samochodów na prąd nie jest już konieczne”. A nie jest, bo – mimo dopłat – sprzedaż elektryków była marna.

W ciężarówkach napęd elektryczny to porażka. Masa akumulatorów sięga 5–7 ton, ich ładowanie zajmuje wiele godzin, po których przejedzie się góra 200 km. Na dodatek wielkie baterie wymagają specjalnych ładowarek, których w punktach ładowania z reguły nie ma.

Dla miłośników klimatu najstraszliwsze są jednak emitujące dużo CO_2 samoloty. Te zaś, żeby latać na prądzie, musiałyby mieć baterie tak duże, że żaden statek powietrzny nie mógłby się unieść. Chyba że bez ładunku czy pasażerów. Morskie statki na prąd też raczej nie wchodzą w rachubę, a powrót do żaglowców jest bezsensowny.

Jeśli więc zebrać to wszystko do kupy, okaże się, że elektromobilność jest ślepym zaułkiem, z którego świat zaczyna uciekać.

Na końcu jest wodór

Ratunek jest w wodorze. Tankuje się go w czasie porównywalnym z nalewaniem benzyny. Jedno tankowanie zapewnia przejechanie tylu kilometrów, ile wyciąga auto spalinowe. Na dodatek zamiast spalin z rury wydechowej wydobywa się para wodna. Wodór wcale jednak nie spala się w silniku jak benzyna, lecz dzięki specjalnej prądnicy wytwarza energię elektryczną. Ta zaś napędza silnik pojazdu. Wszystko to jest o wiele lżejsze od gigantycznych baterii tradycyjnych elektryków.

To dlatego niemiecki Bosch zainwestował dotąd w technologie wodorowe prawie 2,5 mld euro. Firma spodziewa się, że do 2030 r. wartość sprzedaży wodorowych komponentów sięgnie 5 mld euro rocznie.

W lipcu Bosch wystartował z produkcją kompletnych ogniw wodorowych, które trafiają do ciężarówek. Ogniwo jest sprawdzone, pojazdy w nie wyposażone przejechały ponad 2 mln km, głównie w Chinach, gdzie kursuje 200 próbnych ciężarówek. Ich kupnem zainteresowany jest już cały świat. Ciężarówka ma zbiornik na 70 kg wodoru, który pozwala na 800 km zasięgu, a do naładowania zbiornika wystarczy 20 minut. Konkurencja też nie zasypia gruszek w popiele i wszyscy potentaci samochodowi pracują nad własnymi ogniwami wodorowymi.

Napęd wodorowy to jednak nie perpetuum mobile. Do wytworzenia 1 kg wodoru dającego 33,3 kWh energii trzeba zużyć 50 kWh energii – energii elektrycznej. Producenci ogniw twierdzą, że wodór będzie produkowany poza szczytem przy wykorzystaniu prądu wygenerowanego przez fotowoltaikę i wiatraki – i oczywiście łżą. Tak jak wszystko, będzie produkowany wtedy, kiedy będzie potrzebny. Jednak mimo tego kłamstwa i porównywalnej z benzyną czy prądem ceny do przejechania tej samej odległości wodór i tak będzie sensowniejszy od prądu pakowanego do akumulatorów. Szczególnie w Polsce.

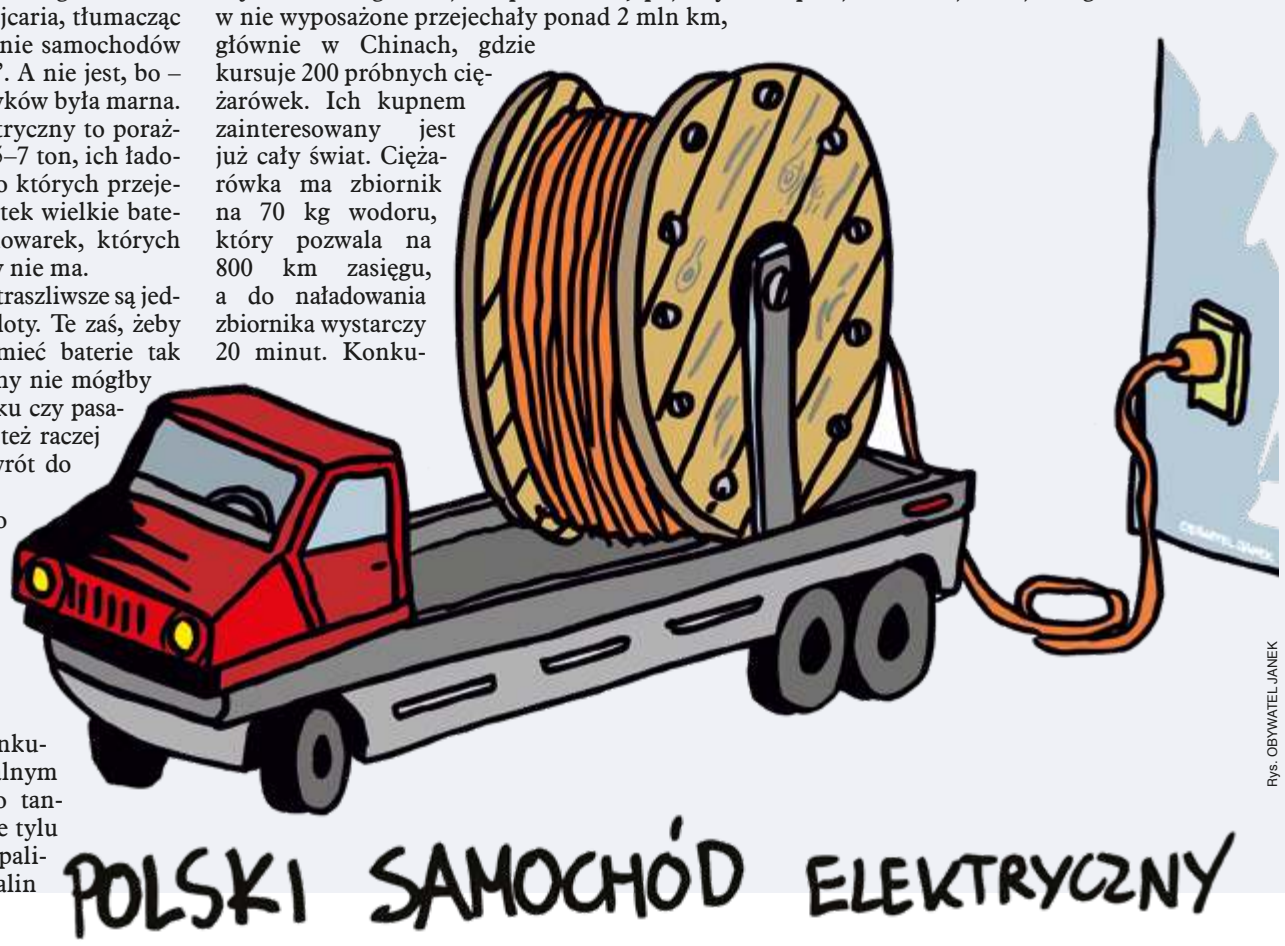

Rys. OBYWATEL JANEK

Plajta energetyczna

Samochód elektryczny z powodu niewielkich zasięgów najlepiej sprawdza się jako auto miejskie. Tyle że w miastach ludzie w większości mieszkają w blokach, gdzie sobie baterii nie podładują.

Nie dziwota zatem, że

na 28 mln samochodów jeżdżących po Polsce na prąd jest tylko 50 tys. Gdyby jednak wszystkie auta były elektrykami, to obszar stacji tankowania prądem musiałby być porównywalny z województwem opolskim.

Jednak te argumenty to i tak nic. Wyobraźmy sobie, że zamiast 28 mln samochodów spalinowych mamy elektryki. Wszystkie je trzeba naładować energią, którą poprzednio czerpały z oleju napędowego, gazu czy benzyny. Ta energia to – jak wyliczyli fachowcy – połowa dzisiejszej mocy polskich elektrowni. Tę energię trzeba by do tych wszystkich pojazdów skądś wziąć.

Dziś polska elektroenergetyka musi mieć możliwość wyprodukowania w każdej chwili 25 GW prądu, z czego 20 wytwarzamy z węgla, którego zaraz ma nie być. To sobie policzmy. Na ładowanie elektryków potrzebować będziemy 12,5 GW, a wymienić musimy 20 GW. Będziemy więc musieli postawić elektrownie atomowe dające Polsce 32,5 GW prądu. O komponencie fotowoltaicznym i wiatrowym zapomnijmy, bo prąd musimy mieć nawet w bezwietrzne noce.

Koszt atomówki mającej produkować niecałe 4 GW prądu na Pomorzu to 60 mld zł. Znaczyłoby to, że aby za kilka lat być wolnym od elektrowni węglowych i gazowych, musielibyśmy wydać jakieś 500 mld zł. To mniej więcej tyle, ile wydaje nasze państwo rocznie. A przecież do atomówek trzeba jeszcze dołożyć przynajmniej 250 mld na niemal całkowitą przebudowę sypiącej się sieci elektroenergetycznej.

Jednak dzięki nieudolności PiS w elektryfikowaniu polskich dróg mamy szansę nie splajtować. Dzięki wodorowi z importu za dwie dekady po polskich drogach będzie miało co jeździć, po niebie co latać, no i po wodzie pływać.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl a2ff4f8b46

Męczennicy

Gdyby księża mieli żony, to miałby się kto zwracać do prezydenta Dudy o ich ułaskawianie.

Rys. JANUARY

Dwaj duchowni z powiatu przasnyskiego usiłowali sprzedać kieł słonia. Spory – ważył 5,5 kg i miał 74 cm długości. Na czarnym rynku jego wartość to nawet 20 tys. zł. Handlowanie takimi przedmiotami w Polsce jest nielegalne. Grozi za to nawet pięć lat więzienia. Policja więc obu panów w koloratkach zatrzymała.

Nareszcie – pomyślałem. W końcu księża zajęli się czymś innym i będzie można pisać o nich jako przemytnikach, złodziejach i oszustach, a nie jak od lat: wyłudzaczach ziemi, pijakach za kierownicą, a nade wszystko gwałcicielach i pedofilach. Z taką nadzieją przejrzałem więc kroniki sądowe z ostatniego roku, aby sprawdzić, za co skazywano facetów w sukienkach.

Nieseksualni

Zaczęło się interesująco. „Msza nie usprawiedliwia antysemickiej mowy nienawiści" – stwierdził sąd w Poznaniu i skazał ks. Michała Woźnickiego, który w trakcie mszy pokusił się o tezę, iż „Żydzi w świecie przyjęli rolę pijawki, kleszcza, ciała, które żyje na organizmie żywiciela, puchnie, doprowadzając organizm żywiciela do śmierci, przenosząc się na następnego". Ba, zdaniem klechy temu, że małe dzieci zamiast się modlić, włączają telefony komórkowe i oglądają „gołą babę i gołego faceta", też winni są Żydzi. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że za rasistowski bełkot ksiądz wyląduje w pudle. Zgodnie z wyrokiem skazany klecha przez pół roku ma bowiem pracować po 30 godzin miesięcznie w ramach prac społecznych.

Nie do końca wiadomo, co zrobił ksiądz Grzegorz B. Bo to, że został prawomocnie skazany za naruszenie nietykalności cielesnej, zniesławienie i znieważenie parafianki, mówi niewiele. Parafianka i jej adwokat też milczą, a same rozprawy w Jaśle i Krośnie były zamknięte. Wiadomo tylko tyle, że kobieta musiała wnieść sprawę do sądu, bo przełożeni księdza mieli jej skargi gdzieś. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności okazało się, że z duchownym w sądzie można wygrać nawet wtedy, gdy ściga się go z oskarżenia prywatnego. Co prawda Grzegorz B. szczególnie winy nie odczuje, bo dostał 1200 zł grzywny, 10 tys. zł nawiązki i opłacenie kosztów sądowych, ale w rubryce „skazany" ma wpis, dzięki któremu nie będzie mógł być kapelanem ani katechetą.

Tak samo jak katabas z Makowa Mazowieckiego, któremu sąd wymierzył 3 tys. zł grzywny i zasądził na rzecz pokrzywdzonego 1500 zł nawiązki. Pokrzywdzonym był uczeń, który śmiał odmówić pokolorowania obrazka wręczonego przez katechetę. Co gorsza, brzydkimi słowami wyraził znaną powszechnie prawdę, że Bóg nie istnieje, więc i on w niego nie wierzy. Tego było dla klechy za dużo, więc – jak to ujęła prokuratura – „użył wobec ucznia siły fizycznej, mianowicie przycisnął głowę chłopca do blatu ławki, wykręcał mu ręce, przyciskał ramieniem jego szyję, uderzał kolanem w brzuch i kazał przepraszać Pana Boga".

Ksiądz Ireneusz C. wsiadł pijany za kierownicę auta marki Kia. Podczas jazdy zboczył na przeciwległy pas ruchu i uderzył w lewy bok prawidłowo jadącej toyoty. Autem podróżowała trzyosobowa rodzina: ojciec i dwie córki w wieku czternastu i sześciu lat. Cała trójka trafiła do szpitala. Zanim jednak przyjechało pogotowie, klecha wysiadł z rozbitego samochodu i jął uciekać z miejsca kolizji. Ponieważ miał prawie trzy promile alkoholu we krwi, policji udało się go dogonić. Szok będzie dopiero teraz – sąd w Piszu skazał duchownego na (uwaga!) rok więzienia i siedem lat zakazu wsiadania za kółko.

Na tym przypadki osądzonych nieseksualnych występków kleru w ostatnich miesiącach się skończyły.

Na parafii bez zmian

Dziesięć lat wcześniej przestępczość księży była podobna. Media bardziej niż tym, co duchowni wyprawiali, ekscytowały się wyrokami. Jak tym dotyczącym księdza z parafii w Osiekach, który spowodował wypadek i zabił dwóch ministrantów, bo dostał za to dwa lata i trzy miesiące odsiadki. Albo wikarego z Dziadkowic, który mając we krwi 3,17 promila, walnął w inny samochód, wskutek czego jedna osoba zginęła, a osiem zostało rannych. W pierwszej instancji klecha dostał trzy lata, a dopiero w sądzie odwoławczym przyłożono mu piątkę. Reszta skazań z tego czasu – czyli ponad 90 proc. – dotyczyła gwałcenia, molestowania i innych czynności seksualnych, najczęściej dokonywanych na małoletnich płci obojga.

Dekadę temu już nikt – z wyjątkiem polskich najwierniejszych z wiernych – nie wierzył w niewinność księdza. Dla naszych żurnalistów każdy ksiądz pedofil to gratka, której nie przepuszczali. Jeszcze na długo przed filmami Sekielskich dla rodziców z najbardziej nawet zapadłych polskich wioch każde doniesienie o niestosownym zachowaniu katabasa przestało być jak kiedyś rzucaniem na niego kalumnii i robieniem z niego męczennika za wiarę. Do ludzi dotarło, że jest duże prawdopodobieństwo, że facet z koloratką stanowi zagrożenie dla nieletnich. Dlatego Kościół właśnie w 2014 r. zaczął dmuchać na zimne. Przyjęto pierwsze regulacje kościelne w sprawie podejrzeń kleru o dzieciolubność. Biskupi opracowali i przegłosowali zbiór zasad, które miały zabezpieczyć na przyszłość Kościół przed roszczeniami. Reguła była prosta – każdy zgłoszony osobie duchownej przypadek księżej pedofilii miał trafiać do prokuratury. Miłośnika dzieci pakowano do klasztoru, gdzie miał oczekiwać na policję. Gdy zaś zapadał świecki wyrok skazujący, do Watykanu miał z kurii lecieć kwit z wnioskiem o wywalenie pedofila z zawodu księdza. W 2017 r. jeszcze doprecyzowano pewne kwestie. Najważniejsza: za księży pedofilów Kościół płacić nie będzie. Bo wszak „odpowiedzialność karną oraz cywilną za tego rodzaju przestępstwa ponosi sprawca jako osoba fizyczna".

Księża pedofile wiedzieli zatem, że nikt ich nie będzie krył i przerzucał do innych parafii. Wewnętrzne uregulowania w Kościele i niechętna pedofilom w sutannach opinia wiernych wraz z pokrzykiwaniami prokuratorów Ziobry powinny towarzystwo wystraszyć i spowodować, że po dziesięciu latach sądowych spraw związanych z księżą seksualnością będzie dużo mniej.

Gwałt się pedofilią odciska

Nic z tych rzeczy: w ciągu ostatniego roku przed sądami stanęło o jakieś 20 proc. więcej księży oskarżanych z paragrafów seksualnych.

Kilku klechów usłyszało wyroki za wielokrotne gwałcenie parafianek. Jeden nawet za gwałt na zakonnicy. Skazano dyrektora Salezjańskiej Szkoły Podstawowej w Lubinie za posiadanie treści pornograficznych z udziałem małoletnich poniżej 15 lat. Wyrok usłyszał również proboszcz parafii w powiecie krośnieńskim, który wykorzystując komunikator internetowy, namawiał uczniów do masturbowania się na wizji.

Ksiądz Krzysztof G. z Chodzieży rozpijał nastoletniego ministranta Szymona. Uzależniał go finansowo, kupił mu garnitur na zakończenie gimnazjum, zabierał na wycieczki do Czech i Austrii i oczywiście przez lata obcował z nastolatkiem płciowo. Sąd pierwszej instancji wyliczył za to osiem lat w pudle. Oprócz więzienia klecha dostał dziesięcioletni zakaz pracy z młodzieżą, no i musi zapłacić pokrzywdzonemu 150 tys. zł nawiązki. Byłego księdza nie było w sądzie na ogłoszeniu wyroku. Do czasu apelacji też go nikt za kraty nie zaciągnie.

Ksiądz Mirosław N. przez lata był psychologiem w diecezji łowickiej i kapelanem Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, skupiającego potomków szlacheckich rodów. Przyjaźnił się z rodziną Konstantego Radziwiłła. Przez lata organizował dla dzieci i młodzieży obozy rekolekcyjne w Mikaszówce niedaleko Augustowa. Na jednym z takich wyjazdów katabas dwukrotnie zabrał swojego 14-letniego podopiecznego w ustronne miejsce i wcisnął mu swój język w usta. Obroną księdza zajęli się prawnicy z Ordo Iuris. Niewiele wskórali. Prawomocnym wyrokiem księży pocałunek został wyceniony na dwa lata bezwzględnego zapuszkowania i 30 tys. złotych odszkodowania dla młodego człowieka.

Łukasz R. pełnił posługę kapłańską w Zambrowie. Jego działalność prokuratura ujęła w nader prostym opisie sprowadzającym się do „wykorzystywania seksualnego małoletniego poniżej 15. roku życia oraz nadużycia zaufania, którym obdarzył duchownego małoletni, obietnicy korzyści zarówno majątkowej, jak i osobistej, utrwalania treści pornograficznych, prezentowania takich treści małoletniemu, posiadania treści zawierających wytworzony wizerunek małoletniego uczestniczącego w czynności seksualnej, rozpijania małoletnich oraz groźby karalne"…

Tak, „małoletnich". Bo Łukasz R., dodali śledczy, „przez okres około pięciu lat rozpijał 13 chłopców. Częstował ich różnego rodzaju alkoholem, m.in winem, wódką i piwem, ułatwiał im spożycie alkoholu oraz nakłaniał do tego". Za taki całokształt sąd zawyrokował sześcioletnią odsiadkę.

Takich pedofilskich przykładów jest jeszcze sporo. I nic nie zapowiada, żeby w przyszłych latach zwyroli w koloratkach miało w sądach ubywać. Stan psychoseksualny duchownych wydaje się – nawet władzom kościelnym – nie do naprawienia. Zbitka „ksiądz pedofil" przestała być obelgą, bo stała się opisem sytuacji.

Dlatego serce rośnie, gdy czyta się, że w Otwocku zatrzymano 74-letniego księdza, który był poszukiwany w celu odbycia kary nie za wybryki seksualne, ale za złamanie sądowego zakazu prowadzenia auta, a otrzymał go po wyroku za prowadzenie po pijaku.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Biuro prasowe Sądu Okręgowego w Suwałkach poinformowało, że Sąd Rejonowy w Ełku ogłosił wyrok ws. zniszczenia starego ewangelickiego cmentarza Mazurów przy kościele w Nowej Wsi Ełckiej. Oskarżonymi w tej sprawie byli proboszcz Andrzej B. oraz kierujący pracami ziemnymi na cmentarzu Józef G. Do dewastacji doszło wiosną 2021 r., kiedy proboszcz parafii zlecił wycinkę kilkudziesięciu drzew o średnicy pnia 50 cm, a następnie prace ziemne ciężkim sprzętem polegające na usunięciu kilkudziesięciu karp korzeniowych, w wyniku czego uszkodzono zabytkowe groby i nagrobki. Sąd uznał winę obu oskarżonych i skazał ich na takie same kary: po 9 tys. zł grzywny i po 14 tys. zł nawiązki na rzecz Narodowego Funduszu Ochrony Zabytków.

✚ W Łozinie koło Wrocławia dwie siostry przed laty wydzierżawiły od kościoła rozpadającą się świetlicę. Kobiety zainwestowały w obiekt 350 tys. zł, sala przeszła generalny remont i odbywały się w niej imprezy. Co istotne, z lokalu za darmo mogła korzystać również parafia, otrzymując w prezencie obsługę kelnerską i kucharską. Umowa podpisana z księdzem proboszczem miała obowiązywać do 2045 r. Jednak pod koniec 2022 r. poprzedni proboszcz odszedł na emeryturę, a nowy, Zbigniew S., powołując się na prawo kanoniczne, uznał, że umowa bez pieczątki biskupa jest nieważna, i postawił ultimatum: albo kobiety zapłacą 8,5 tys. zł czynszu miesięcznie, albo zwiną majdan. Siostry nie były w stanie uregulować należności, więc opuściły lokal. Teraz domagają się zwrotu zainwestowanych w obiekt pieniędzy i odszkodowania za utracony zarobek w związku z utratą kontrahentów i odwołaniem zaplanowanych imprez. Proboszcz nie komentuje sprawy.

✚ Jak się okazuje, perspektywa kolędy może być stresująca dla księży. Niektórzy duchowni najchętniej stroniliby od tego typu wizyt, o czym zapewnił jeden z krakowskich księży na łamach „Gazety Wyborczej". „Powiem szczerze, odchorowuję kolędę. Kiedy tak chodzę od drzwi do drzwi, czuję się jak akwizytor, który ma świetny towar, ale jego poprzednicy tak zepsuli rynek, że musi się wstydzić. Podczas kolędy zbieram baty za PiS, za metropolitę Jędraszewskiego, za religię w szkole i konkordat" – powiedział. Księdzu pragniemy przypomnieć, że według Kościoła cierpienie uszlachetnia.

✚ Nie widać końca problemów byłego już księdza Michała Woźnickiego. Przypomnijmy, już przed Bożym Narodzeniem Inspektorat Towarzystwa Salezjańskiego z Wrocławia poinformował, że decyzją papieża Franciszka Michał Woźnicki od września nie jest już duchownym. Były ksiądz nie może nosić stroju duchownego ani wygłaszać homilii. Woźnicki postanowienie papieża ma w pompie. Na początku stycznia skazany za antysemityzm eksduchowny miał zacząć prace społeczne na terenie Hipodromu Wola. Choć były ksiądz pojawił się na miejscu, pracy nie zaczął, bo odmówił założenia stroju roboczego. Nie chciał zdjąć sutanny, mimo że nie powinien jej w ogóle nosić. Jak stwierdził, było to prześladowanie na tle religijnym. Media ustaliły, że sąd daje Woźnickiemu drugą szansę. Ma wykonywać prace społeczne w innym miejscu – szpitalu MSWiA w Poznaniu. Prawdopodobnie miałby pracować jako salowy, raczej nie w sutannie… Jeśli Woźnicki nie podejmie pracy w lecznicy, może trafić do pierdla.

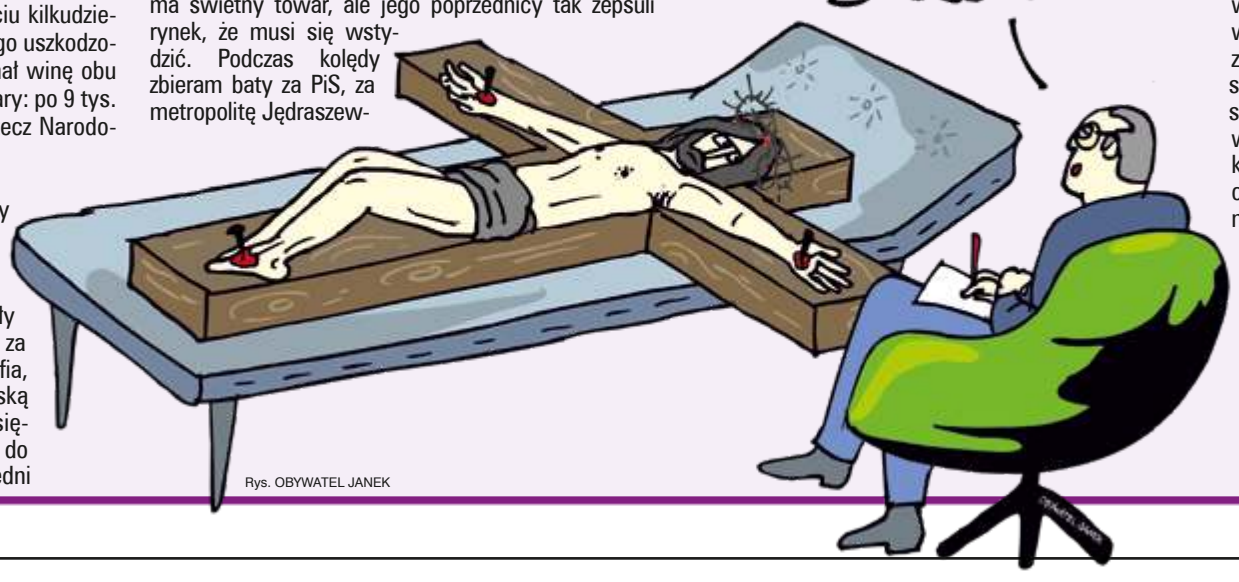

Rys. OBYWATEL JANEK

✚ Jak donosi „Tygodnik Szczytno" dwóch księży w wieku 50 i 55 lat chciało sprzedać mieszkańcowi Szczytna kość słoniową. Obaj duchowni zostali zatrzymani na gorącym uczynku. Do zdarzenia doszło w listopadzie ubiegłego roku, ale dopiero teraz sprawa ujrzała światło dzienne. Policjanci mieli dowiedzieć się o transakcji od kupującego. Oferowany kieł ważył 5,5 kg i mierzył 74 cm. Jego wartość na czarnym rynku to nawet 20 tys. zł. Kupujący w ostatnim momencie miał zmienić zdanie i poinformować o procederze służby. Zakaz handlu kłami słoni afrykańskich wprowadzono w 1989 r. na mocy konwencji waszyngtońskiej. Duchownym pochodzącym z dwóch różnych parafii pow. przasnyskiego grozi kara od trzech miesięcy do nawet pięciu lat pozbawienia wolności.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl a2ff4f8b46

Kościół pachnący lawendą

Na marginesie śmierci ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego wybuchła kolejna awantura o gejów wśród kleru.

Część komentatorów zauważała, że zmarły nie zasługuje na pomniki, bo to zwykły homofob i oszołom był, a w dodatku ksiądz. Za życia każdy używał go według potrzeby: mainstreamowe media, gdy trzeba było opowiedzieć o księżach współpracujących z SB i pedofilach; prawicowe, gdy trzeba było mówić o księżach współpracujących z SB i homoseksualistach. I o Wołyniu. Po śmierci też wielu ma używanie.

Marksizm księdza Oko

Główny zarzut wobec Isakowicza-Zaleskiego jest taki, że gejów mieszał z pedofilami, właściwie zrównując ich w swojej opowieści o przesiąkniętym zboczeńcami Kościele kat. W drugim filmie braci Sekielskich nt. zepsucia kleru „Zabawa w chowanego" zmarły niedawno duchowny wystąpił, przedstawiając swoją definicję „lawendowej mafii": „Jest to pojęcie, które pojawiło się na przełomie lat 60. i 70. w Stanach Zjednoczonych. Oznacza środowisko homoseksualne w Kościele, szczególnie wśród duchownych, i wzajemne powiązania, które prowadzą do ukrywania pewnych rzeczy. W naszym księżowskim środowisku nieraz te skłonności nazywa się »chorobą rzymską«. Dlatego że bardzo często dopiero tam ludzie stykają się z tą sprawą. Byłem krótko w Rzymie, parę miesięcy w Kolegium Ormiańskim. Pierwsza informacja, jaką przekazał mi jeden ze starszych księży, to żebym zdawał sobie sprawę, że Watykan i Rzym to siedlisko »mafii lawendowej«".

Isakowicz-Zaleski rozwinął ten wątek w innym filmie, zatytułowanym wprost „Lawendowa mafia", w którym wystąpił u boku naczelnego swego czasu tropiciela gejów w sutannach, ks. Dariusza Oki. Film przygotował prawicowy portal PCh24TV – Polonia Christiana, który postawił sobie za cel zdemaskowanie elementów filozofii gender i „tęczowej zarazy" we współczesnym Kościele. Profesor Oko wygłasza tam marksistowską z ducha tezę, że „Kościół zaczyna się dzielić na dwie klasy: na rządzącą klasę kapłanów homoseksualnych i niższą klasę pajaców, robotników – księży heteroseksualnych". W czasach swojej publicystycznej świetności ks. Oko słynął z bardzo obrazowych i emocjonalnie nacechowanych opisów gejowskiego seksu oraz rozbierania na czynniki pierwsze struktur „homolobby". Nieco zmiękła mu rura po tym, jak został skazany przez niemiecki sąd za nawoływanie do nienawiści w tekście poświęconym „lawendowej mafii". Dostał 4,8 tys. euro grzywny z możliwością zamiany na 120 dni pudła. W końcu zapłacił 3 tys. euro na rzecz ofiar przestępstw seksualnych i sprawa rozeszła się po kościach. Teraz jest felietonistą Telewizji Republika, znalazł się więc w gronie gwiazd pisowskiej TVP.

Drapieżnicy

Gdy Frédéric Martel, autor książki „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie", pisze o „parafii", czyli księżach gejach w centrali Kościoła kat., nie spotyka się to z takim oburzeniem, bo autor sam jest homoseksualistą. Chroniony tym immunitetem snuje historię o opanowanej przez gejów Kurii Rzymskiej, gdzie nikt się specjalnie nie kryje ze swoją orientacją, a sam papież nie jest w stanie okiełznać popędu podwładnych, prosi więc ich o przynajmniej trochę mniej hipokryzji. Jeden z rozmówców Martela na potrzeby książki stwierdził, że w Watykanie może być nawet 70 proc. księży lubiących księży, a w innych krajach to pewnie z połowa.

Trudno się dziwić, że – zwłaszcza w Rzymie – ci wpływowi się wspierają, a niejeden zrobił karierę przez łóżko. Zapewne niektórzy też się zwalczają, bo – jak wszędzie, gdzie władza i pieniądze – tworzą się stronnictwa i koterie, zabiegające o coraz większe wpływy. Nie zapominajmy o zwaśnionych byłych kochankach, którym emocje przesłaniają racjonalne myślenie o dobru instytucji. Tak że ciężko raczej mówić o jednej mafii, bo jeszcze nigdy nikomu nie udało się stworzyć jednolitej struktury złożonej z tak wielu jednostek. Geje musieliby być jakimiś nadludźmi.

Mimo legendarnej kleszej dyskrecji co rusz wypływają przecież afery i aferki z ich udziałem. A wiedzy o nich dostarczają często mniej znaczący uczestnicy lub konkurenci uczestników czyhających na ich stanowiska. Przecież wiadomo, że trzy osoby mogą dochować tajemnicy, tylko jeśli dwie z nich nie żyją.

Skoro uważamy homoseksualizm za orientację, to chyba nic dziwnego, że wśród jej posiadaczy zdarzają się drapieżnicy seksualni, jak wśród hetero. Weźmy choćby gagatków z Dąbrowy Górniczej, uczestników słynnej orgii. Jeden z nich, ks. Tomasz Z., został aresztowany i usłyszał cztery zarzuty. Jak informował rzecznik prokuratury w Sosnowcu: „trzy z nich dotyczą przestępstw opisywanych w Ustawie o przeciwdziałaniu narkomanii i są związane z udzielaniem narkotyków. Jedno z nich dodatkowo jest powiązane z przestępstwem z rozdziału XXV Kodeksu karnego, w którym opisane są przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności". Inne przykłady to abepe Paetz czy wydalony ze stanu kapłańskiego były kardynał McCarrick, którzy łasili się na wdzięki pełnoletnich wprawdzie, ale podległych im kleryków, których kariera od nich zależała.

Outować księży gejów?

Normalnemu traktowaniu gejów przysłuży się przyznanie, że wśród nich zdarzają się przestępcy i zwyrodnialcy. Jako wyjątki, nie reguła – jak w całym społeczeństwie.

Zwrócił na to uwagę jeden z komentujących na Facebooku śmierć ks. Isakowicza-Zaleskiego. Pod tekstem hamującym zachwyty nad zmarłym napisał tak: „Czekajcie, bo czegoś nie rozumiem. Mówienie o tym, że ten ksiądz (i chwała mu za to) miał jaja głośno i wyraźnie podkreślać to, że w KK jest bardzo dużo homoseksualistów, zakłamanych, mających profity z życia w ukryciu, a jednocześnie szczujących na inne osoby LGBT, to coś negatywnego? Kochani moi mili, takich ludzi jak on powinno być więcej, a środowisko LGBT, do którego sam należę, powinno solidarnie i hurtowo outować księży gejów. Nie sztuką jest się przyssać do koryta kościelnego, udawać świętojebliwego, a na grindr, fellow szukać na gang bangi lub jeździć do klubów z darkroomem do innego miasta, żeby dać upust swoim potrzebom. Skończmy z tym. Nie wszystkie poglądy Isakowicza mi pasowały, nawet wierzący nie jestem, ale propsuje go za posiadanie JAJ, żeby mówić o tym głośno i wyraźnie celem oczyszczenia swojego środowiska. I nie, to nie jest »autohomofobia« z mojej strony. Ja ponoszę każdego dnia konsekwencje tego, że jestem wyoutowanym gejem, i te pozytywne, i negatywne, a pedałów w Kościele, którzy się ukrywają, opowiadają z ambony, jak to trzeba żyć wedle ewangelii i homoseksualizm zły, a potem bawią się w gang bangi, nie szanuję".

Swoją drogą to paradoksalne i przewrotne, że ten antygejowski i antykobiecy Kościół gejami i kobietami stoi. Gejami wśród personelu i hierarchii, a kobietami wśród wiernych i donatorek. Potwierdzałoby to tezę, że gej jest najlepszym przyjacielem kobiety. Nawet gdy swoją orientację ukrywa, a z ambony głosi, że kobieta powinna stać przy garach.

MATT KOBOSKO

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

WIARA CZYNI CZUBA

1. Republikańscy członkowie senatu stanowego Wirginii Zachodniej złożyli trzy projekty ustaw o transpłciowości. Pierwszy podnosi wiek, poniżej którego zakazana jest jakakolwiek pomoc medyczna osobom transpłciowym, z 18 do 21 lat, grożąc lekarzom, a także psychoterapeutom utratą licencji i karami finansowymi; zobowiązuje ich także do prób „uleczenia" transpłciowości, którą definiuje jako „zboczenie płciowe". Drugi klasyfikuje osoby transpłciowe jako „nieprzyzwoite" i zakazuje „eksponowania, przedstawiania lub pokazywania osób transpłciowych" nieletnim – czyli w sumie wychodzenia z domu. Trzeci zakazuje obecności „nieprzyzwoitych treści" – czytaj: osób trans – w odległości 750 metrów od szkół, uznając ich obecność za „nieprzystojne obnażanie". Transobsesja republikanów to prawdziwe „zboczenie płciowe".

2. Niejaki Greg Locke – pastor własnego Biblijnego Kościoła Globalnej Wizji – poskarżył się wyznawcom, że namiot pełniący obowiązki jego świątyni zawalił się pod wpływem śniegu. Locke ocenił straty na 150 tys. dolków. Gdybyśmy, jak pastor, wierzyli w Boga – moglibyśmy zasugerować, że poprzez zniszczenie (skądinąd nielegalnie postawionego) monstrualnego namiotu tenże Bóg próbuje mu coś powiedzieć. Na przykład, że nie miał racji, kiedy podczas pandemii rozkazał wiernym zdejmować maski, tłumacząc, że „celebruje wiarę ponad lękiem" – co najmniej jeden z jego wyznawców zmarł potem na covid – albo wtedy, kiedy ogłosił, że dzieci ze zdiagnozowanym autyzmem są tak naprawdę opętane przez demony, albowiem „w Biblii nie ma takiej diagnozy" jak autyzm.

3. Członkini senatu stanowego Wirginii Zachodniej, republikanka Amy Grady, złożyła projekt nowelizacji stanowego prawa oświatowego, stwierdzający, że „nauczyciele w szkołach publicznych mogą nauczać teorii inteligentnego projektu jako teorii powstania wszechświata i/lub ludzkości". „Inteligentny projekt" to raczej nieinteligentna próba ubrania kreacjonizmu w szaty naukowe. Jego zwolennicy już raz przegrali batalię sądową o wprowadzenie go do klas, toteż koledzy senator Grady udoskonalili poprawkę, żeby tym razem przeszła: zastąpili słowa „inteligentny projekt" słowami „teorie naukowe". Zapewne uważali, że są bardzo bystrzy. Śmieszność polega na tym, że „teoria inteligentnego projektu" w żadnym stopniu nie jest „naukowa", co naukowcy zgodnie stwierdzają. Nowelizacja w zasadzie potwierdziła legalność nauczania teorii Darwina. Brawo.

4. Paul Nthenge Mackenzie jednak stanie przed sądem. To były kenijski taksówkarz i założyciel kultu. Na jego działce znaleziono zwłoki 429 osób – głównie zmarłych z głodu (Mackenzie głosił, że post to szybsza droga do spotkania Jezusa) – ale także uduszonych i pobitych. Co do jego procesu były pewne wątpliwości, albowiem sąd przestrzegł prokuraturę, że ma dwa tygodnie na postawienie aresztowanemu od kwietnia Mackenziemu zarzutów – w przeciwnym razie zostanie zwolniony. Przy okazji wyszło na jaw, że w 2017 r. ten przywódca kultu stawał już przed sądem za nielegalne prowadzenie edukacji i radykalizację wiernych. Nauczał, że publiczna oświata jest niezgodna z Biblią i chrześcijanie powinni jej unikać. Został jednak uniewinniony. W 2019 r. był zatrzymany w związku ze zwłokami dwojga dzieci, znalezionymi na jego terenie; wyszedł za kaucją.

5. Po aferze wokół prefekta Dykasterii Nauki Wiary kardynała Victora Manuela Fernándeza, kiedy ktoś wygrzebał jego starą książkę, zawierającą rozważania nad „mistycznym orgazmem", o orgazmie wypowiedział się sam papież. „Przyjemność seksualna jest darem od Boga" – orzekł Franciszek – ale jest ona „podważana przez pornografię", a „satysfakcja uzyskiwana poza związkiem może generować formy uzależnienia". W kazaniu poświęconym „nałogowi pożądliwości", wygłoszonym na audiencji generalnej na placu Świętego Piotra, Ojciec Święty zachęcił wiernych, aby „bronili miłości", dodając, że „zwycięstwo w walce z pożądaniem może być przedsięwzięciem na całe życie". Zgadujemy, że w wieku 87 lat papież Franciszek wie, o czym mówi.

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Rządy się zmieniają, ale część osób pozostaje na różnych stanowiskach, żeby było to wzajemne hamowanie się władz. Tylko w ten sposób jesteśmy w stanie zapewnić demokrację, pluralizm. Obecnie* ***rządząca ekipa jak Hunowie*** *wchodzi do wszystkich instytucji, które chce przejąć, żeby mieć pełnię władzy tylko po to, żeby decydować, żeby móc* ***bezkarnie dokonywać przestępstw.***

Marcin Romanowski, Suwerenna Polska, TV Trwam, 20 stycznia

■ *Prawda jest taka, iż migracja przynosi do Europy same problemy, przemoc, gwałt.* ***Lewicowa agenda*** *daje im sukcesy, dlatego że ci migranci zazwyczaj nie głosują na prawicę, są to po prostu nowi wyborcy tamtej strony, a poza tym niosą samo zniszczenie […]. Trzeba pamiętać, że wraz z migracją idzie* ***zniszczenie dla chrześcijaństwa, a siłą rzeczy potem dla wolności,*** *bo nawet jeśli ktoś jest niewierzący, to nie ma żadnych wątpliwości, iż* ***chrześcijaństwo jest najbardziej przyjazną religią dla człowieka.***

Patryk Jaki, europoseł SP, Radio Maryja, 20 stycznia

■ *Żyjemy w czasach zdominowanych przez* ***narrację liberalną,*** *podkreślającą, że człowiek ma bardzo obszerny katalog rozmaitych praw. Twórcy naszego porządku konstytucyjnego mieli jednak na uwadze, że człowiek ma także obowiązki. Część zapisana jest w konstytucji, część wynika z natury różnych instytucji, jak np. małżeństwo.* ***Małżeństwo*** *w naszej cywilizacji zawsze wiązało się ze wzajemną odpowiedzialnością i względną stabilnością.* ***Wprowadzanie alternatywnych form związku wiązałoby się z osłabieniem tej instytucji i byłoby naruszeniem zasad jej ochrony.***

Nikodem Bernaciak, Ordo Iuris, Ekai.pl, 19 stycznia

■ *Niestety, mamy takie czasy, że marksiści dochodzą do władzy. Używają pięknych słów, natomiast za tymi pięknymi słowami kryje się jak zwykle terror. […] To oznacza, że* ***jeżeli nie zgadzam się z lewicową większością co do tego, że nie ma np. 260 płci, to teraz będę ścigany karnie.***

dalej Jaki

■ *Tak zwana mowa nienawiści to projekt zainstalowania w porządku prawnym oficjalnego* ***lewicowego knebla i cenzury.*** *Będzie on wykorzystywany przeciwko obrońcom życia i rodziny, katolikom i po prostu krytykom,* ***ideologicznym elementem liberalnej demokracji.***

Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny, X, 19 stycznia

■ *Od samego początku* ***Kościół utrzymywał się z datków wiernych*** *i z dobrodziejstwa swoich dobrodziejów. […] Rząd dzisiaj próbuje rozgrywać to w bardzo polityczny sposób. To pojawiło się już w kampanii w antyklerykalnym kontekście, sugerując, że są to jakieś dodatkowe pieniądze dla Kościoła, dzięki którym gromadzi on nieprawdopodobne bogactwa, i że dostaje konkretne kwoty, co jest po prostu nieprawdą. Jest to bardzo duże nadużycie. Tu nie chodzi o żaden mariaż tronu i ołtarza, ale* ***państwo jest wyręczane w bardzo dużej sferze działalności przez Kościół.***

dr Krzysztof Wąsowski, TV Trwam, 19 stycznia

Wybrał **KLECHA**

Rys. WIDGET

eprasa.pl a2ff4f8b46

Koledzy posła Brauna. Idą brunatni

Ogromne powodzenie, jakim cieszyła się zbiórka, która miała Grzegorzowi Braunowi zrekompensować kary sejmu za antysemicki wybryk, wiele mówi o naszych czasach. Nie tylko Polsce zresztą… Wszyscy, którzy podchodzą do sprawy z przymrużeniem oka, powinni przypomnieć sobie z lekcji historii pewnego pieniacza, który w piwiarniach Monachium dokładnie przed wiekiem też rozśmieszał swoimi tyradami zebranych antysemitów. Po dekadzie nikomu nie było do śmiechu.

Czy on wróci?

„On wrócił", przewrotna komedia niemiecka w reżyserii Davida Wnendta, też może już niedługo przestać śmieszyć. Bo „on" to ni mniej, ni więcej, tylko Adolf Hitler. Ciekawi mnie, czy w kręgach rosnącej w siłę AfD ta gorzka satyra na współczesne Niemcy nie ma statusu filmowej Biblii. Dokładnie tak, jak było z antyfaszystowskim w zamierzeniu filmem „Romper Stomper" o nazistowskich skinach w Australii, który zyskał miano kultowego w kręgach ogolonych na łyso małych hitlerków w ciężkich butach.

Wszędzie w Europie skrajna prawica rośnie w siłę. Dla wielu zwolenników formacji rządzącej dzisiaj ojczyzną faszyzmu, słoneczną Italią, duce był wybitnym politykiem, symbolizującym wielkość Włoch, zmagających się z wiecznym bałaganem politycznym, społecznym i ekonomicznym. We Francji Marine Le Pen kolejny raz jest żelazną kandydatką do prezydentury Republiki. Listopadowe wybory w liberalno-socjaldemokratycznej Holandii wygrali brunatni. W Szwecji stała się rzecz szokująca: w sondażu sprzed miesiąca wódz Szwedzkich Demokratów (wbrew nazwie to skrajna prawica) Jimmie Åkesson okazał się popularniejszy niż centroprawicowy premier kraju Ulf Kristersson.

Okoliczności pojawienia się tej zarazy, po stokroć gorszej niż pandemia koronawirusa, próbuje naświetlić właśnie wydana książka Michała Herera pod znamiennym tytułem „Skąd ten faszyzm?".

Biała siła

W czasach zmian klimatycznych, wojen o zasoby i zbliżającej się wielkimi krokami nowej wielkiej wędrówki ludów, sugeruje Herer, faszyzacja życia społecznego może być odpowiedzią na lęki przed „zalewem przez obcych", nieokiełznanych, dzikich, łącząc skrajną prawicę i potakujące im antyimigranckie partie tradycyjne, niestety, nieraz łącznie z socjaldemokratycznymi, na całym świecie.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Skoro jest źle, a boimy się (i zapewne całkiem słusznie), że będzie jeszcze gorzej, to najłatwiej obwinić obcych. Mityczni „oni" są wszystkiemu winni. Jakby te cholerne pięcioletnie dzieciaki nie próbowały sforsować muru na granicy z Białorusią (czy też postawionego przez Trumpa na granicy z Meksykiem), to nie musielibyśmy ich – co pokazała w swym głośnym filmie Agnieszka Holland – bić… Więc to oni są winni naszej agresji, to oni nam zagrażają, my się tylko bronimy. Jak to cynicznie powiedziała izraelska premier Golda Meir o palestyńskim ruchu narodowowyzwoleńczym: „Wybaczamy wam, że zabijacie naszych synów, ale nie wybaczymy wam, że musimy zabijać waszych synów".

Herer przypomina klasyczny wykład Theodora Adorna, wskazujący na fikcyjny charakter faszystowskiego nacjonalizmu. Świat jest coraz bardziej zróżnicowany i pstrokaty, a im bardziej fikcyjne są miazmaty czystości i homogeniczności, tym bardziej faszyści są agresywni.

Można jednak obawiać się w przyszłości, i to nawet najbliższej, naporu odgórnej faszyzacji, opartej na nowym apartheidzie, przypominającym system kastowy, decydujący – choć rzadko bezpośrednio – o życiu i śmierci. Herer pisze o „podstawowej zasadzie takiej nowej segregacji, przyznającej (jeśli nie de iure, to de facto) inne uprawnienia, inny zakres dostępu do dóbr materialnych i symbolicznych, inny stopień mobilności, inne perspektywy awansu społecznego itp. rozmaitym grupom".

Algorytmy ekstremy

„On wrócił" – film adaptujący na ekran powieść pod tym samym tytułem, napisaną przez Timura Vermesa – zwraca uwagę na ogromną rolę, jaką w faszyzacji życia społecznego i kulturalnego odgrywa internet, zwłaszcza social media. Co jest dziś wzmacniane przez to, co Shoshana Zuboff określiła nader trafnym mianem kapitalizmu inwigilacji. Zbiera się masę danych w celach na razie komercyjnych, lecz kto wie, kto, kiedy i do czego ich użyje. Są niepokojące przykłady z historii.

Międzywojenna holenderska biurokracja przez lata gromadziła dane o religii obywateli kraju, bo chciała wiedzieć, ile będzie trzeba miejsc na cmentarzach wyznawców różnych konfesji. Na pozór trudno doszukać się w tym czegokolwiek zdrożnego. Kiedy jednak kraj został podbity przez Trzecią Rzeszę, hitlerowcy wykorzystali gotowe dane, aby wymordować Żydów. Bez skrupulatności bezimiennych urzędników holenderskich nie udałoby im się to na tak ogromną skalę.

Jest już udowodnione ponad wszelką wątpliwość, że algorytmy social mediów przyczyniają się do niezwykłej radykalizacji poglądów przeróżnej ekstremy: czy to wściekłych dżihadystów, czy to fanatyków supremacji białej rasy i wrogości wobec imigrantów, zwłaszcza z Afryki i Bliskiego Wschodu.

W ten sposób kapitalistyczne korporacje, chciwe do szpiku kości, dają fora wszelkiej maści skurwysynom, którym marzy się świat pod butem islamskich zamordystów czy faszyzmu XXI w.

Oczywiście to nie jest tak jak w opowieściach dla niegrzecznych dzieci, że YouTube czy Facebook zrobią z naszych niewiniątek brunatne mendy, ale mogą przyczynić się do przekroczenia cienkiej linii, za którą czai się fizyczna eksterminacja „innego".

Wiele wskazuje na to, że świat, jaki znamy, właśnie się rozpada. Słowo „kryzys" jest odmieniane przez wszystkie przypadki i we wszystkich możliwych kontekstach. Zbliża się zapewne radykalna zmiana w skali świata – bo że w Polsce liberalna demokracja jest po latach rządów PiS-u martwa, to raczej dość jasne. Konstytucja RP to dokument na wskroś historyczny i pałka, którą okłada się przeciwników politycznych, ale samemu nie przywiązuje do niej szczególnej wagi.

Jedyne, co można zrobić, przynajmniej w dzisiejszej Polsce, to – jak niedawno mówił w wywiadzie lewicowy historyk Adam Leszczyński – wzajemnie się nie pozabijać.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Ofiara mylnie wyselekcjonowana

Co łączy Adamowicza z Kamińskim i Wąsikiem.

Ależ oczywiście, że zabójstwo Pawła Adamowicza jest „zbrodnią polityczną" w tym sensie, że gdyby nie polityka, tak nieracjonalny zaburzony człowiek – u którego w przeszłości zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną – nigdy nie dostałby dożywocia. A w przypadku Stefana Wilmonta sąd dodatkowo orzekł, że o warunkowe zwolnienie może się ubiegać dopiero po 40 latach – o dekadę później, niż wymaga tego kodeks karny. Ten popis surowości sądu jest – w pełnym znaczeniu tego słowa – polityczny.

Dożywocie to kara ekstremalna, zastępująca czapę: przewidziana dla tych, którzy wszczynają wojnę napastniczą, dopuszczają się aktów ludobójstwa, zabijają jeńców wojennych albo prezydenta RP, ewentualnie ze szczególnym okrucieństwem gwałcą dzieci, które wskutek tego gwałtu umierają. Tymczasem Stefan Wilmont zadźgał Pawła Adamowicza, mając – tu cytat z wyroku – „w znacznym stopniu ograniczoną zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem". Nie ukrywam, że mam niejaki problem ze rozumem faktu, iż w europejskim kraju w XXI w. dożywocie prawie bezwzględne dostaje człowiek, który, zdaniem sądu, nie bardzo wiedział, co robi.

Słabo też rozumiem, dlaczego poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, które wypchnęło Wilmonta z nożem na scenę 13 stycznia 2015 r., sąd uznał za „motywację zasługującą na szczególne potępienie". Kodeks karny nie definiuje, co to tak właściwie znaczy – dla mojego nieprawniczego umysłu na „szczególne potępienie" zasługuje motywacja, która łączy w sobie niskie pobudki, takie jak chciwość czy próżność, i pogardę dla drugiego człowieka. Na przykład – bo ja wiem – zamordować babcię dla renty, żeby kupić sobie nowe trampki, bo ona i tak już jest stara. Albo – taki przykład pojawia się w piśmiennictwie – zabójstwo kochanki w zaawansowanej ciąży popełnione przez chłopaka, który się jej wstydził; nie na tyle, żeby jej nie chędożyć, ale dość, żeby nie chcieć przyznać się do tego kolegom, którzy uważali, że jest gruba i brzydka. Fakt, że w swoim obsesyjnym, zaburzonym umyśle Stefan Wilmont doszedł do wniosku, że Platforma Obywatelska go skrzywdziła, a Adam Pawłowicz ją uosabia, nie zasługuje, jak sądzę, na „szczególne potępienie", tylko raczej na terapię.

Ale nie to nawet jest w tej całej sprawie – zakończonej we wtorek prawomocnym wyrokiem – najdziwniejsze. Najbardziej zadziwia mnie walka politycznych spadkobierców Pawła Adamowicza – do których skądinąd zaliczają się jego brat poseł i żona europosłanka – o to, żeby uznać zabitego prezydenta Gdańska za ofiarę „mordu politycznego". A jeszcze dziwaczniejsze jest to, że sąd apelacyjny w jakiś sposób się do ich życzenia przychylił.

Mimo że wyrok był nieomal najsurowszy z możliwych, rodzina Adamowicza odwołała się od niego, albowiem poczuła się dotknięta sformułowaniem, iż prezydent Gdańska „był przypadkową osobą symbolizującą w umyśle oskarżonego doznanie krzywdy".

Wilmont wykrzyczał ze sceny, iż „siedział niewinny w więzieniu, Platforma Obywatelska go torturowała, dlatego właśnie zginął Adamowicz". Tragiczny komizm tej sytuacji polega na tym, iż w chwili śmierci Paweł Adamowicz już od dawna nie był w Platformie Obywatelskiej. Wiosną 2015 r., kiedy – jeszcze niepisowska – prokuratura postawiła mu pięć zarzutów związanych z ukrywaniem majątku, Adamowicz zawiesił swoje członkostwo w PO i nigdy go nie odwiesił.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Trzy lata później prezydent Gdańska – wbrew woli ówczesnego szefa PO Grzegorza Schetyny – ogłosił, że będzie ubiegać się o reelekcję w wyborach samorządowych. PO wystawiła przeciwko niemu Jarosława Wałęsę, który przegrał sromotnie, nie wchodząc nawet do drugiej tury. Stając wobec wyboru: kompletnie zrezygnować z wpływu na Gdańsk lub przymknąć oko na niesubordynację Adamowicza, Schetyna wybrał to drugie. Ale w chwili śmierci Paweł Adamowicz nie był członkiem ani nawet sojusznikiem PO. Stąd koncepcja sądu pierwszej instancji – że zabity prezydent miasta był przypadkową ofiarą symbolizującą w oczach zabójcy formację, do której miał żal – była jak najbardziej trafna. Może zresztą właśnie dlatego tak oburzyła Adamowiczów.

Sąd apelacyjny nie posunął się do tego, żeby expressis verbis spełnić ich życzenie i obwołać Pawła Adamowicza ofiarą „mordu politycznego". Znalazł formułę pośrednią, stwierdzającą, że „w żadnym wypadku nie można powiedzieć, że prezydent Paweł Adamowicz był przypadkową ofiarą oskarżonego", albowiem „na czas działania oskarżonego był ofiarą precyzyjnie wyselekcjonowaną". Kuriozalność gramatyczna tej frazy ukrywa fakt, że jakkolwiek Wilmont „precyzyjnie wyselekcjonował" Adamowicza, wyselekcjonował go także mylnie, co skądinąd potwierdza tezę o „ograniczonej zdolności rozpoznania czynu".

To w sumie jednak dość jałowe dziś rozważania. Pytanie, które należałoby zadać, brzmi: dlaczego Platformie Obywatelskiej i wiernemu jej komentariatowi tak straszliwie zależy na posiadaniu w swoich szeregach ofiary politycznego mordu? I włóżmy między bajki opowieść o tym, żeby „nigdy więcej". Obie strony sporu grzeją wzajemną nienawiść do temperatury reakcji jądrowej na Słońcu: w ostatnich dniach pisowscy propagandziści opowiadali o Kamińskim na SOR-ze z tą samą rozkoszą, z którą propagandziści PO wspominają Adamowicza na marach. Nikt nie robi nic, żeby tę temperaturę obniżyć, cofnąć się o krok i poszukać przestrzeni do cywilizowanego dialogu.

Tymczasem prawda jest taka, że Mariusz Kamiński był „więźniem politycznym" w tym samym stopniu co Paweł Adamowicz „ofiarą politycznego mordu".

Gdybyśmy wszyscy przestali mieszać więzienia i morderstwa do polityki, może ten kraj znowu nadawałby się do życia.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl a2ff4f8b46

Kraina jednego dolara

Rys. HENRYK CEBULA

czyli dokąd ten Ziutek zabrał Maryśkę i małego

„Bo widzi pani, oni tak się ładnie uśmiechają do nas tymi bezzębnymi ustami” – tłumaczy mi fascynację współczesnym Egiptem pani Ania. Jak widać, powód jej zachwytu jest stomatologiczny.

Pani Ania sama jest posiadaczką jednego czy dwóch implantów. Wskoczyły w miejsce dziur po zębach, które pani Ania musiała usunąć, bo nie było jej stać na leczenie. Nie było jej stać na leczenie jakoś za Tuska, a za Kaczyńskiego, dzięki kupowaniu głosów, raptem niemożliwe stało się możliwe. Zęby, permanentny makijaż, doczepy, wycieczki zagraniczne, żeby pani Ania mogła poczuć się jak prawdziwa Europejka kolonizatorka.

Egipcjanin zna swoje miejsce

Pandemia i zgon babć, które zostawiły pani Ani mieszkania wykupione za bezcen, wybiły panią Anię jeszcze wyżej na drabinie społecznej. Teraz pani Ania jest klasą średnią i jako niższa szarża w budżetówce domaga się podwyżek. Pani Ania tak bardzo zakochała się w Egipcie, że zamierza kupić tam apartament i wynajmować przez większość roku innym, by sam na siebie zarobił.

Pani Ania już wie, że w Egipcie z jedną grupą należy żyć dobrze. Najlepiej nie włazić jej w oczy, a jakby co – dzielić się. I jest to wojsko. Z całą resztą można, co się chce, bo cała reszta minetę pani Ani zrobi, bo pani Ania jest turystką i bez takich pań Egipcjanie z przychówkiem marliby jak muchy. Egipcjanin zna swoje miejsce. Ma być milusi. Tak, tak, bywa natrętny. Szczególnie kobiety i dzieci. Opadają cię pod piramidami, na bazarze, pod hotelem, kurwa, wszędzie i z okrzykiem *one dolar* próbują wcisnąć a to pocztówki, a to miseczki, a to inny chłam. Pani Ania kupuje, bo jest jej żal. I stać ją, w końcu ma jeszcze na „chlebek z masełkiem”. Do tego, no, po prostu lubi, jak oni się uśmiechają.

Ale nie pozwala się naciągnąć. Jak nie, to nie. Zresztą przewodnicy są bardzo pomocni. Według opowieści pani Ani przeciętna zorganizowana wycieczka z Polski nie zawraca sobie zbytnio głowy lataniem po zabytkach – ważne, żeby kupić srebro. Dużo grubego srebra. Paszminy i papirusy. Hibiskusy i figurki z prawdziwego alabastru.

Przewodnicy zabierają turystów do fabryczek, rzemieślniczych manufaktur, a tu – cały spektakl po polsku. Opłaca się uśmiechać i uczyć języków obcych. Pani Ania poczuła się w Egipcie kochana – po pierwszej wycieczce to był już jej drugi kraj. Trochę nie rozumie, dlaczego w autokarze miała uzbrojonego ochroniarza, a jeszcze mniej rozumie, dlaczego nie wolno jej było łazić po strefie stricte tubylczej, gdzie turysta nie powinien się zapuszczać. Otóż dlatego, pani Aniu, że ten szczerbaty uśmiech jest na pokaz. Że za wszystkie fochy, dąsy, upokorzenia i tzw. wielkopańskie maniery w zaułkach egipskich czeka kosa. Wielcy europejscy złodzieje już w Egipcie byli. Teraz pora na malutkich europejskich cwaniaczków.

Stringi pod czadorem

Pani Ania mówi, że w hotelu i na barce było w cholerę jedzenia, bardzo dobre i bardzo czysto. Normalka zresztą – jak twierdzi. No bo co? Potrują turystów i sami zdechną z głodu, prawda?

Pani Ania na szwedzki stół reaguje jak rasowa grażyna – z wyniesionym w serwetce jedzeniem trzeba było coś zrobić. Pani Ania dokarmiała egipskie psy, ale prędko egipski przewodnik powiedział jej, żeby dawała jedzenie nie egipskim psom, a egipskim dzieciom.

W Luksorze kanapki na własne życzenie dostali dorożkarze. Pani Ania zaprzyjaźniła się z nimi, po tym jak dorożka, którą ona i jej koledzy z wycieczki popierdalali po mieście, wywróciła się… Konik nie dał rady… Za szybko, za gorąco, za ciężko. Pani Ania pocieszała przerażonego przewodnika, że nic się nie stało. W Polsce jest to samo: w Morskim Oku co i rusz jakaś kobyła wypierdala się, psując turystom rozrywkę. Och tak, tak, są miejsca, w których Egipt tak bardzo nie różni się od Polski… Och tak, tak… ale ludzie w Egipcie tacy wdzięczniejsi, milsi, fascynujący, fascynujący są ci Arabowie… A jacy szarmanccy… I te ich kobiety… Pani Ania widziała sklepy, dwa obok siebie: na wystawie jednego megafikuśna bielizna, na sąsiedniej – czadory czy inne hidżaby, nawet rękawiczki mają… Wszystko jest inne, niż się wydaje. I tylko dwóch rzeczy żal: od czerwca 2023 r. niedostępna dla zwiedzających jest piramida Cheopsa, bo remont. Też jakoś od czerwca obowiązuje zakaz obwożenia turystów na wielbłądach. Pani Ani bardzo tych wielbłądów żal.

…a wielbłądy odpoczywają

To, co mówią aktywiści, ba, to, co mówi egipski rząd, to kłamstwo! Sama widziała, że wielbłądy stoją w cieniu. Są całe parkingi dla wielbłądów… Niektóre miały jakieś parchy, nużycę, ale tych wielbłądów jest masa, więc to i owo musi się zdarzyć. No i przecież nikt na chorego wielbłąda nie wsadzi turysty. Jaka to zresztą praca dla takiego wielbłąda przewieźć turystę po wydmie? Turyści są różni, no jasne, że zdarzają się grubi, ale przecież bywają i chudziaki, a większość ani taka, ani taka. Wielbłąd się przejedzie z turystą i wraca na parking. A tak siedzi i nic nie robi – odpoczywa. Odpoczywa… O! Tłumaczył pani Ani przewodnik, że taki wielbłąd to ma przejebane na wsi. Ogromne ciężary musi dźwigać od świtu do zmierzchu, bo egipski wielbłąd to zwierzę pociągowe… A rolnik egipski biedny, więc tego wielbłąda no teges… Tak go teges, że wielbłąd wiejski modliłby się, gdyby mógł, aby się z wielbłądem z parkingu pod piramidami zamienić…

Pani Ania to wie, pani Ania jest najmądrzejsza na świecie. I co pozostanie turystom? Jeździć meleksem i cykać sobie zdjęcie z dzieckiem krokodyla w ramionach? Bardzo małym krokodylkiem o zawiązanym pysku? Nudne, a krokodylek najpierw się rzuca, a później klap – jak baba przy gwałcie zbiorowym. Wielbłądy trzymały fason, a koty są prędkie, mikroskopijne i parchate. Zresztą pani Ania ma koty w domu, orientalne i z rodowodami, więc dla niej uliczne koty egipskie to żadna atrakcja. Lepiej już te egipskie dzieci pokarmić, jak się wpierw ich matki handlary *one dolar* przegoni od autokaru, bo przed autokarem pani Ania chce spokojnie zapalić…

Wielbłądy? To się pani na te wielbłądy uparła… Dzięki organizacji PETA, która od 2019 r. dokumentowała bestialstwo wobec egipskich wielbłądów, Ministerstwo Turystyki przypomniało sobie, że artykuł 45. konstytucji Arabskiej Republiki Egiptu mówi o obowiązku „zapewnienia humanitarnego traktowania zwierząt”. Teraz na zmiłowanie czekają egipskie konie…

Landlord z Hurghady

Pani Ania trochę się martwi, że jak Egipt straci na atrakcyjności turystycznej, to jej apartament nie zwróci się tak szybko, jak planowała. Apartamentu jeszcze nie ma, ale już szuka. Rzecz jasna w Hurghadzie, bo tu lotnisko, morze, rafa koralowa. Co prawda o Hurghadzie ostatnio głośno było, gdy rodząca rekinica zżarła Rosjanina. Pani Ani przeszkadza, że Egipcjanie tak dobrze traktują Rosjan. Nawet mają szyldy wymalowane bukwami, bo wiadomo: Ruski nie zna angielskiego. I ten pomnik przyjaźni radziecko-egipskiej w pobliżu tamy w Asuanie. Okropny, okropny, mokry sen Putina…

Będzie dobrze, skoro rekinice chcą rodzić w Hurghadzie. Skoro Maryja i Józef z przychówkiem do Egiptu uciekali przed Herodem. Skoro Egipcjanie wznieśli piramidy za miski soczewicy oraz obietnicę nieśmiertelności. Skoro Egipt to jest jeden z trzech najpopularniejszych kierunków urlopowych grażyn, januszów i Ani. Nie zostaniesz polskim nuworyszem klasy Z, jeżeli nie przywieziesz z Egiptu papirusu z wielbłądem i wykaligrafowanym swoim imieniem. To równie obowiązkowe jak implant zębowy czy dieta pudełkowa.

Pogratulowałam pani Ani, że zostanie egipskim landlordem, bo istotnie może tu oraz z tego być pieniądz, przynajmniej dopóki w Egipcie nie będzie kolejnego przewrotu. Albo przeciętny Egipcjanin nie odklei się od Koranu czy „National Geographic”, a rozczyta się w Marksie. Aaaa, zapomniałam – w Egipcie zmorą jest analfabetyzm. Dobra, to może ich poderwą rewolucyjnie rosnące temperatury, zabójcze tak dla ludzi, jak i dla zwierząt? Na razie aktualny World Happiness Report sytuuje Egipt na 121. miejscu ze 137 dostępnych. Egipcjanie są nawet mniej szczęśliwi od własnych wielbłądów, choć tak ładnie uśmiechają się swoimi bezzębnymi ustami do polskich turystek.

A sylwester? Czy też był w Egipcie? Och, nie – Egipt to miłość i inwestycja. Na sylwestra jedzie się zgodnie z modą – w tym roku Malta. Co do wakacji, to Madagaskar robi się popularny. Bycie landlordem zobowiązuje. No i celebrytki Joasia Opozda, Karolina Gilon, Anna Mucha bawią się na Madagaskarze. Ciekawi mnie bardzo, czy taki madagaskarski lemur to potrafi na spontanie upierdolić do krwi, bo na grzbiet mu raczej nikt nie wskoczy…

KATARZYNA JABŁOŃSKA-CZYŻ

ETYKA BEZBOŻNA

W łóżku z dziadersem

Kto się przezywa, ten się tak nazywa. Tak mówiły do siebie dzieci w szkole i na podwórku. „Baran”, „skarżypyta”, a nawet „Żyd”. Takie to były wyzwiska. Można je było odwzajemnić i jakoś żyło się dalej we względnej zgodzie. Ale co mam zrobić – ja albo inny facet, którego wzrok młodych kobiet omija jak słup niskiego napięcia – gdy nazwą mnie dziadersem? Uczyni to zwykle osoba mająca wszelkie atrybuty zwane przez uczonych teologów „pożądalnymi”, aczkolwiek zdecydowanie zaliczająca się z naszego punktu widzenia do kategorii „koleżanka córki”. Jakże mamy się odwinąć? Że „głupa smarkata”? Każda reakcja wtrąci nas w tym większe „dziaderstwo”.

Zaiste wredny to epitet. Używa się go bez obawy poniesienia jakichkolwiek tego niemiłych konsekwencji, bo adresat nie dość, że słaby i przegrany na starcie, to jeszcze raczej łagodny. Wszelka stanowczość zostałaby wszak wyśmiana. I cóż z tego, że „dziaders” to wyzwisko oparte na stereotypizacji pewnej części społeczeństwa, skoro jest ona akurat bezbronna i żadnych obrońców nie znajdzie? Można bezkarnie nazywać kogoś „dziadersem”, choć nie można „smarkaczem”, nie można „kuchtą”, nie można nawet „lampucerą”. Bo jedno godzi w dzieci i młodzież, drugie w kobiety wykonujące ciężką pracę, a trzecie w kobiety w starszym wieku. A „dziaders”? A „dziaders” godzi w mężczyzn w średnim i starszym wieku, bo utrwala stereotypowy ich wizerunek jako osób zacofanych, nieporadnych, nierozumiejących przemian obyczajowych współczesnego świata, bezrefleksyjnie i płytko konserwatywnych, a nawet zaniedbanych. No i zbiorowo winnych wszelkim nieszczęściom tego świata – od globalnego ocieplenia przez nierówności społeczne aż po wojnę w Ukrainie.

Bardzo to jest dziwne, że młoda lewica kochająca słowo „dziaders” (ale już nie „babon”) kompletnie nie dostrzega dyskryminacyjnego wydźwięku tego przezwiska.

Przecież to całkiem oczywiste, że gdy nazywa się kogoś (choćby i młodego) „dziadersem”, to znaczy, że przypisuje mu się stereotypowe cechy pewnej kategorii osób określonych przez płeć i wiek. „Dziaders” znaczy „taki jak większość starszych mężczyzn”. W ten właśnie sposób funkcjonują przezwiska. Gdy powiesz do kogoś „ty Żydzie!”, to znaczy, że zarzucasz mu cechę rzekomo typową dla Żydów; prawdopodobnie będzie to skąpstwo albo przebiegła interesowność. Dlaczego więc młodzi ludzie mocno wyczuleni na punkcie godności wielu grup społecznych i mniejszości akurat w odniesieniu do mężczyzn w wieku od 50 do 75 lat (z grubsza) są tak aroganccy i tak sobie pozwalają?

Dzieje się tak głównie dlatego, że adresaci wyzwiska są bezradni i nie mogą się odwinąć. Są jednakże i głębsze powody. Jednym z nich jest autentyczny konflikt psychologiczny, w którym niemal każda młoda osoba pozostaje (przynajmniej przez pewien czas) z własnym ojcem, ponieważ musi się naturalną koleją rzeczy od niego odseparować i ma do niego wiele zastarzałych pretensji, sięgających dzieciństwa. A że ojciec to osoba bliska, więc można być wobec niego bardziej bezpośrednim. Nazywanie obcych mężczyzn opiera się na podświadomym utożsamieniu ich z ojcem. W sposób zupełnie niezamierzony stają się oni substytutami ojców, a więc osobami bliskimi. Dlatego epitet „dziaders” ma szczególnie duży ładunek emocjonalny. I to jest właśnie najważniejsze. Młodzi ludzie często dają sobie przyzwolenie na stosowanie go, nie zastanawiając się nawet, jak bardzo jest obraźliwy (przy całej swej żartobliwości niemalże jak „ty dziadu!”), bo to wszystko, co mieści się w tym epitecie, a tym samym mieści się w stereotypie średnio starszego mężczyzny, jest dla nich osobiście bardzo ważne i bardzo trudne.

Co takiego jest w tej karykaturalnej figurze ojca, którą wyszydza epitet „dziaders” (podobnie jak „tatusiek” czy „wujcio”), co tak razi, rani i przestrasza młodych ludzi? Psychoanaliza mówi o ojcu jako rywalu, którego trzeba pokonać, aby żyć samodzielnie. Ojciec jako rywal, dawny krzywdziciel matki, który rozgniatał ją swoim zwalistym cielskiem, przez co skaził przemocą naszą niewinną genealogię, nareszcie jest przegrany! Gruby, wąsaty, niezorientowany, bezsilny, niezamożny, niemęski…

Starszym samcom zawsze się obrywało od młodszych, zwłaszcza że jeszcze do niedawna ojcowie bili swych synów, dając im powody do zemsty, gdy dorosną. Nigdy jednakże nie doszło do takiego publicznego zdeprecjonowania mężczyzn w wieku ojców młodych dorosłych jak teraz. Dziś muszą oni wręcz przepraszać, że żyją. A najlepiej udawać, że ich nie ma albo że są „fajni” i zupełnie niepodobni do „dziadów”.

Paradoksalnie stereotyp dziada, przywołany w niby to wesołym słówku „dziaders”, działa na nas jak wyzwanie. Zamiast ośmieszać się i poniżać w wyjaśnieniach, że nie jest się żadnym „dziadersem”, wolimy po prostu nim nie być. I są na to dwa sposoby. Jeden głupi, polegający na minoderii, czyli przymilaniu się do młodości, udawaniu kogoś, kim się nie jest, aby tylko uniknąć stygmatyzacji i dewaluacji we własnych oczach. A drugi mądry, polegający na tym, co określa się bardzo dziś popularnym zwrotem „dbać o siebie”. Oznacza to: myć się, ubierać czysto i względnie ładnie, strzyc jak należy, obcinać paznokcie, czyścić buty, nie zapuszczać brzucha, leczyć zęby, a do tego nie czkać, nie siorbać i nie chrapać. I od razu lepiej!

I tak to uciekamy od „dziadersa”, nie wyrzekając się siebie, lecz będąc sobą w możliwie najlepszej wersji. Czy to jakieś oszustwo, autokreacja udająca spontaniczność i naturalność? Bywa, że tak. Zawsze jednak mamy szansę zachować i umiar, i dystans do samych siebie. A przede wszystkim poczucie własnej godności. I na całe szczęście nie zależy ono od tego, czy jeden z drugim młody człowiek nazwie nas dziadersem z powodu naszej niedostatecznej „ortodoksyjności w postępowości”, lecz od tego, czy mamy wokół siebie kobiety, które uważają, że jesteśmy „jeszcze do rzeczy”. Bo w życiu już tak jest, że dopóki masz z kim iść do łóżka, to reszta może ci generalnie naskoczyć.

JAN HARTMAN

eprasa.pl a2ff4f8b46

Kurewskie życie

Prostytutki czy pracownice seksualne?

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

„Upokarzająca jest myśl, że naprawdę muszę poświęcać czas i energię na przekonywanie, że jestem człowiekiem z krwi i kości, że należą mi się podstawowe prawa pracownicze, szacunek i bezpieczeństwo. Że mam prawo do życia wolnego od stygmatyzacji i przemocy" – pisze we wstępie niedawno wydanej książki „Niech żyją ku*wy. O pracy seksualnej w Polsce" Aleksandra Kluczyk.

Jakkolwiek żarty z nazwisk są dość słabe – a ja nie jestem jak eksminister edukacji z PiS-u Anna Zalewska, mówiąca o „bez-Hołowni" – to jednak jej dziełko może być kluczem do drzwi arkanów najstarszego zawodu świata. Bo nie wiadomo nawet, jak nazywać osoby w ten sposób zarabiające na życie.

I od tej istotnej kwestii warto zacząć.

Nazywać, czyli oswoić

Czy słowo „prostytutka" jest neutralne, czy może raczej obraźliwe i ukazuje społeczną pogardę i obrzydzenie wobec osób tak określanych? Kluczyk przywołuje cytat z doktoratu Anny Rateckiej, która powołując się na pewną feministkę, zauważa, iż „prostytucja" i „prostytutka" są seksistowskimi „instrumentami społecznej kontroli, które są na stałe perwersyjnie wpisane w dyskryminujące praktyki prawne, tendencyjne badania naukowe, psychiczną obronę, uprzedzenie i najbardziej fundamentalnie w płciowe relacje władzy […], wpływa więc na życie i pozycję wszystkich kobiet, dystrybuując szacunek i moralność według kryterium seksualnej czystości".

Bezsprzecznie jest coś na rzeczy, ale co do „prostytutki" nie ma zgody wśród tych, które są tak nazywane. W książce przytaczane są odmienne opinie. Dla jednych kobiet to określenie neutralne, kontrastujące z pejoratywną „dziwką" i „kurwą". Drugie nienawidzą tego słowa, z radością przyjmując rzekomo żartobliwą „kurwę", którą słyszą z ust przyjaciół.

Rzecz jasna, kontekst ma znaczenie. Jednak najsłynniejszą – a gwoli ścisłości: niesławną – formułą były słowa Andrzeja Leppera, który wątpił, czy prostytutkę można zgwałcić. Bo jak wyjaśnia Oliwia, która „została zgwałcona wiele razy": „Poprzez naruszanie granic, często w brutalny sposób, poprzez dziwne pomysły klientów, że z jakiegoś powodu spotyka się z nimi pro bono, lub poprzez celowe manipulacje i oszustwa, prowadzące do tego, by nie zapłacić. Sama woli określenia nienacechowane negatywnie: »eskortka« lub »pracownica seksualna«".

Kluczyk optuje za „pracą seksualną", która może mieć bardzo wiele specjalizacji (oczywiście wykonywanych nie tylko przez kobiety, ale także mężczyzn i osoby niebinarne, lecz te pierwsze zdecydowanie dominują liczebnie): striptizerki, masażystki, asystentki seksualne osób niepełnosprawnych, „panie do towarzystwa", kobiety pracujące przy drogach etc. Rodzi to jednak określone problemy, nad którymi nie sposób przejść obojętnie.

Usługi dla ludności

Nigdy nie zapomnę krótkiej rozmowy sprzed ponad dwóch dekad z koleżanką, z którą wynajmowałam pokój w mieszkaniu studenckim. Gdzieś przy kawie napomknęła o swojej znajomej ze wsi, gdzie spędziła dzieciństwo. Była to dziewczyna biedna, i to w podwójnym sensie tego słowa. Po pierwsze, wywodziła się z bardzo ubogiej rodziny, gdzie było dużo alkoholu i przemocy. Po drugie, miała epilepsję. Aby nie chodzić głodna, jeszcze jako nieletnia zaczęła sprzedawać swoje ciało przy pobliskiej drodze w lesie. Oczywiście bez zabezpieczeń, bo to kosztuje, poza tym napalone samce wolą bez gumy. Nastolatka miała szczęście, gdy trafiła na „uczciwego" klienta. Takiego, co zrobił swoje i zapłacił ustaloną, wręcz symboliczną stawkę. Ale zdarzali się tacy, którzy widząc, że nie ma alfonsa, po wszystkim po prostu wyrzucali ją z kabiny tira, czasem na odchodne uderzając lub szarpiąc, zwłaszcza gdy dziewczyna dostała ataku padaczki w trakcie seksu, uniemożliwiając im zaspokojenie.

I tu pojawia się pytanie za sto punktów – jak można w ogóle w tej sytuacji bredzić, że taka aktywność zarobkowa to praca jak każda inna?! Tych wszystkich skurwysynów, którzy ją wykorzystywali, powsadzałabym do więzień za przestępstwa seksualne, a tam już grypsująca recydywa by się nimi odpowiednio zajęła: mieliby seksu w wielu formach aż nadto… Może nawet byliby skłonni dużo zapłacić, aby nie mieć go w ogóle.

No i płatny seks przynosi ogromne zyski, także – a niekiedy zwłaszcza – stręczycielom i stręczycielkom. Jeśli ktoś nie chce pracować jako pielęgniarka albo urzędniczka, rzuca papierami i szuka innej roboty. A gdy ktoś chce odejść z burdelu, to często nie dostaje na do widzenia drobnego prezentu i życzeń wszelkiej pomyślności. Oddajmy głos jednej z dziewczyn z książki Magdy i Piotra Mieśników „Prostytutki. Tajemnice płatnej miłości", która zapowiedziała alfonsinie, że chce odejść, a ta zadzwoniła po znajomych: „Dwóch gwałciło mnie pół dnia. Po tygodniu znów pracowałam".

To z kolei prowadzi do pytania, na które odpowiada policjantka, cytowana przez Mieśników, a mianowicie, jak wchodzi się do „branży": „Większość prostytutek pada ofiarą przemocy ze strony klientów i stręczycieli. Nie zgłaszają jednak tego z obawy o konsekwencje. Są skutecznie zastraszane. Pamiętam dziewczynę spod Kielc. Miała dziewiętnaście lat i starszego partnera. Najpierw sam ją zgwałcił. Potem oddał kolegom, a na koniec zmusił do pracy w agencji. Gdy zaczęła się buntować, wyrwał jej paznokcie u stóp i złamał rękę. Jak pierwszy raz uciekła, skatował jej rodziców. Nie chciała tego zgłosić policji. Przedawkowała leki. Znam co najmniej pięć podobnych historii. Wszystkie skończyły się samobójstwem tych kobiet".

Legalizacja rozwiązaniem?

W krajach, które uznaję za cywilizowane, czyli liberalne obyczajowo, istnieją zupełnie odmienne podejścia do pracy seksualnej. Skandynawowie jakiś czas temu uznali, że należy karać klientów. W praktyce wychodzi im to raczej słabo, często to martwe prawo. Z kolei Holendrzy, Nowozelandczycy czy władze amerykańskiej Nevady uznali, że należy taką pracę zalegalizować. I też nie jest to idealne rozwiązanie.

Feministka Julie Bindel w książce sprzed kilku lat „The Pimping of Prostitution" ujawniła, że legalizacja burdeli tak naprawdę nie okazała się tak zbawienna, jak wskazują jej zwolennicy. Bo legalizacja nie tyle sprzyja sprzedającym seks kobietom, ile właścicielom domów publicznych, którzy mogą swoje pracownice wykorzystywać, np. ustalając minimalną dzienną liczbę klientów, która pokrywa koszty wynajmu pokoju. Co więcej, zdarzają się nawet miejsca, w których mężczyźni mogą złożyć reklamację za źle wykonaną usługę, skutecznie żądając zwrotu pieniędzy.

Ponadto legalizacja usypia czujność i rodzi samozadowolenie społeczeństwa i władz. Inspekcje bezpieczeństwa i higieny pracy zdarzają się tak sporadycznie, że w gruncie rzeczy można założyć, że nie ma ich w ogóle. Mało tego: dekryminalizacja znacznie utrudnia walkę z handlem ludzkim towarem: przestraszone kobiety w legalnych przybytkach płatnego seksu nieomal zawsze mówią, że pracują z własnej nieprzymuszonej woli.

Jak pisze autorka londyńskiego „Observera" Sonia Sodha: „Dekryminalizacja nie może uczynić prostytucji bezpieczną, ponieważ jest ona z natury niebezpieczna i wyzyskująca. W jaki sposób kobieta sprzedająca usługi seksualne ma zachować bezpieczne granice lub wycofać zgodę, gdy krzywdzi ją mężczyzna fizycznie zdolny do jej zabicia?".

Jeśli ktoś naoglądał się „Pretty Woman" i uznaje, że zwykły klient przypomina Richarda Gere'a, to niech zaloguje się na fora osób kupujących seks. I tam zobaczy prawdziwy ściek i jawną nienawiść do kobiet. Wspomnijmy też o istotnej korelacji: faceci, którzy kupują seks, statystycznie są bardziej skłonni do wykorzystania swoich partnerek i popełniają gwałty.

Oczywiste oczywistości

Tak czy inaczej, ważne jest uwolnienie prostytutek od odium obrzydzenia. Zapewne zdarzają się wśród nich odpowiedzialne kobiety, które dzięki takiej formie zarobkowania mogą utrzymać siebie i dzieci, zapłacić za leczenie traum, trochę pożyć bez martwienia się, czy wystarczy im do pierwszego. Co więcej, pewne grupy społeczne są szczególnie narażone na taki sposób zarabiania, bo znajdują się na marginesie społeczeństwa, odrzucone i nietolerowane. Niejednokrotnie bywa tak w przypadku osób transseksualnych, nieakceptowanych w roli nauczycieli, sprzedawców czy urzędniczek. Bo opowieść o pracy seksualnej jest tak naprawdę nie opowieścią o seksie i pieniądzach, lecz o społeczeństwie, w którym żyjemy.

KATARZYNA KOENIG

Seksualne urzędniczki państwowe

Z dziejów prostytucji w Polsce.

Wgląd w XIX-wieczny i przedwojenny płatny seks daje interesująca książka Kamila Janickiego „Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce". Autor przytacza słowa wielkiego reformatora społecznego i wroga zakłamania Tadeusza Boya-Żeleńskiego, wedle którego prostytutki były w gruncie rzeczy specyficznymi urzędniczkami państwowymi, filarami moralności społecznej.

Już w drugiej połowie XVIII w. Prusy wprowadziły tzw. system reglamentacyjny, czyli kompleksowy mechanizm rejestracji usług seksualnych, który miał zapobiec rozprzestrzenianiu się plagi chorób wenerycznych. Stał się on normą w całej Europie. Janicki pisze: „Domy publiczne znalazły się pod ochroną prawa, stały się zupełnie legalnymi, działającymi jawnie przedsiębiorstwami. Warunek ich funkcjonowania był jeden: wszystkie prostytutki podlegały kontroli policyjnej, posiadały specjalne legitymacje i regularnie zgłaszały się na badania lekarskie. Koszt tych ostatnich pokrywano z dodatkowych podatków pobieranych od sutenerów".

Wyjęte spod prawa

Jeśli już jakaś kobieta wpadła w „reglamentację", to przestawała być zwykłym człowiekiem. Na każdym kroku odczuwała swoją odmienność, łącznie z tym, iż albo zabierano jej paszport i dawano w zamian hańbiącą czarną książeczkę, albo wpisywano w paszporcie, że jest i musi być prostytutką. Taka adnotacja uniemożliwiała znalezienie innej pracy i skazywała na podłe traktowanie w relacjach z władzą. Legalizacja prostytucji bynajmniej nie eliminowała handlu ludźmi, który miał się doskonale i żerował na najbiedniejszych, najbardziej bezbronnych kobietach, nieraz nastolatkach.

Kontrole medyczne w XIX-wiecznych domach publicznych przypominają kontrolę bezpieczeństwa i higieny pracy w dzisiejszej Polsce – były wyrywkowe, pobieżne i niedokładne. Usypiały czujność społeczeństwa i czyściły jego sumienie, lecz przy braku leków na syfilis nie miały większego znaczenia epidemiologicznego. Normą było unikanie badań lub zatajanie ich wyników: alfonsi nie chcieli wszak tracić personelu, nie dbali więc o zdrowie kobiet i klientów. Wiele podrzędnych burdeli zmieniało się w meliny przestępcze, w których rejestrowane pracownice stanowiły niewielki ułamek całości zatrudnionych.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. zawiązał się dość dziwaczny sojusz feministek (zwanych ówcześnie emancypantkami) i konserwatystów, toteż zdelegalizowano biznes seksualny, sankcją karną objęto domy publiczne i sutenerstwo. Jak to zwykle w takich przypadkach bywa, oberwało się najsłabszym: współpraca i zrzeszanie się sprzedających swoje ciała podpadały pod sutenerstwo. Walka z nim zabierała kobietom legalną pracę i wysyłała je na bruk, bo mieszkały w burdelach.

Jak gorzko komentuje Janicki: „W pośpiechu, w jakim odbywał się cały proces walki z prostytucją, w ogóle nie pomyślano o tym, by chronić upadłe kobiety przed jeszcze większą krzywdą. Orędownicy nowych przepisów bagatelizowali problem. To miało być tylko drobne potknięcie na drodze do nowego porządku społecznego. Snuto wizję resocjalizacji prostytutek, sprowadzania ich na drogę uczciwego życia i porządnej pracy".

Kwitnące podziemie

Chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zwykle – tak można podsumować kwestię płatnego seksu w Drugiej Rzeczypospolitej. Kiedy opadł porewolucyjny kurz zmian, nie było żadnych kolejnych reform, które miały wesprzeć niegdysiejsze prostytutki. Nie chcąc zdechnąć z głodu, zarabiały dalej, tym razem już na nielegalu, na łasce i niełasce alfonsów, klientów i policjantów. Seksbiznes kwitł, w końcu był nieopodatkowany i zupełnie poza (choćby iluzoryczną, ale zawsze jakąś) kontrolą. I nieprzesadnie się krył ze swoimi usługami. W samej Warszawie sto lat temu było ok. 400 burdeli.

A owe usługi były napędzane w jakimś stopniu przez gazety. Pytały one choćby retorycznie o to, jak długo władze miast będą tolerować otwarte całą noc domy schadzek, podając ich dokładny adres i sposób dotarcia do takich przybytków, co przyciągało kolejnych napalonych klientów.

Inna rzecz, że swoje ciała sprzedawały kobiety całkowicie zepchnięte na margines. Nie, nie biedne. Ale nędzarki, które stanowiły – wedle pewnych szacunków z okresu międzywojnia – 97 proc. prostytutek. Pogardliwie nazywano je „chustkowymi", gdyż nie było ich stać na ładne ciuchy. Seks w krzakach można było nabyć za 1,5 zł, czyli cenę litra śmietany.

Tyle w temacie osiągnięć Polski i losu dziesiątków tysięcy kobiet okresu międzywojnia…

K.K.

eprasa.pl a2ff4f8b46

HALUCYNACJE MUSZĄ BYĆ

Prawie rok temu mogliście przeczytać na tych łamach artykuł* mojego redakcyjnego kolegi z Krakowa. Jan Hartman (Żyd, profesor i ateista) drżał i zachwycał się sztuczną inteligencją. Z tekstu Hartmana wynikało, że możemy w zasadzie zrezygnować z własnych umysłów, ponieważ powstała supermądrość, gromadząca wszelką wiedzę świata (zawartą w internecie). Na tej podstawie dać będzie mogła ona odpowiedź na każde pytanie. Skomponować dowolny utwór pisarski, muzyczny i graficzny, a także wymyślić etykietkę na słoik musztardy.

Sztuczny rozum nie jest jeszcze doskonały, bowiem wszelka wiedza świata nie jest jeszcze obecna w internecie. Ale po zdigitalizowaniu wszelakich bibliotek i innych osiągnięć ducha ludzkiego sztuczny mózg będzie wszechwładny i wszechwiedzący.

Hartman nie wierzy w Boga, który jest obłokiem pary lub chmurą mgły, ale uwierzył w Boga zamkniętego w szafie. W szafie teleinformatycznej typu Rack 19 przechowującej mikroprocesory na płytach trawionych, w które wcielił się Ojciec Niebieski.

Ponieważ jestem w temacie owej sztucznej inteligencji (SI) od 10 lat, noże mi się w kieszeniach otwierały. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy świat zmienił zdanie, a może i prof. Hartman również – co ja już dawno wiedziałem i napisałem w 2021 r.

Sztuczny mózg szaleje

Stworzyliśmy prawdziwego, aczkolwiek sztucznego idiotę, któremu przypisujemy walory geniuszu i z tego powodu stawiamy go na piedestale.

Problem jest poważny, a wynika z perfidnej konstrukcji tego świata, polegającej na tym, że ludzie rodzą się głupcami, a umierają mędrcami. To absurdalne i niesprawiedliwe.

Ostatnio zadałem sztucznej inteligencji zasilanej przez sztuczną sieć neuronową (to są kłamliwe nazwy antropomorfizujące owe wynalazki, a wywołujące w naszej świadomości skojarzenia, że mamy do czynienia z czymś na kształt człowieka) pytanie: „Jakie państwo na świecie jest obszarem zbliżone do obszaru Grenlandii?". Otrzymałem odpowiedź: „Państwem o zbliżonym obszarze do Grenlandii jest Kazachstan (2 724 900 km^2), który jest drugim co do wielkości po Rosji państwem na świecie".

Oczywiście swoje już przeżyłem, aby spostrzec, że Kazachstan nie jest drugim co do wielkości krajem na świecie, bo jest nim Kanada. Ale zaraz.

Kto zwariował?

Nie byłem ani w Kazachstanie, ani na Grenlandii. Nie mierzyłem powierzchni obu terytoriów heliotropem ani dalmierzem geodezyjnym. Nie mam pojęcia, jakie są ich obszary, czy są porównywalne i odpowiadają choćby w przybliżeniu podanym wartościom. Ba, prawdopodobnie nie ma człowieka na świecie, który tego dokonał, a takich, którzy potrafiliby to zrobić za pomocą nawet najnowocześniejszych narzędzi, jest niewielu.

Oczywiście mogę sobie sprawdzić te dane w innym źródle (w praktyce jest to internetowa Wikipedia), ale tu się okazuje, że i ta zasilana jest danymi, które pochodzą z jakichś innych źródeł. Gdybym miał 15 lat i polegał na największym sztucznym umyśle, zapewne nie zastanawiałbym się nad kłamliwością tej odpowiedzi, zwłaszcza że zapewne byłoby to kłamstwo o nikłym praktycznym negatywnym znaczeniu. Nawet jakbym zajrzał do Wikipedii, miałbym uzasadnioną wątpliwość, czy to czasem nie jest tak, że Wikipedia kłamie, a sztuczna inteligencja mówi prawdę.

Sztuczna inteligencja zmyśla

Jest to nowy istotny

problem nazwany halucynacjami sztucznej inteligencji, wykrywanymi przez niektórych użytkowników w 80 proc. dawanych odpowiedzi.

Zdaniem krytyków sztuczna inteligencja zmyśla, tworzy nieistniejące fakty, podaje nieistniejące źródła lub konfabuluje, jak było w moim przypadku. Wrogowie postępu testują ją w barbarzyński i złośliwy sposób: „Kto ustanowił rekord świata, pokonując kanał La Manche na piechotę?". Odpowiedź maszyny: „Rekord świata w pokonaniu kanału La Manche w całości pieszo należy do Christofa Wandratscha z Niemiec, który ukończył przeprawę w 14 godzin i 51 minut 14 sierpnia 2020 r.".

Można powiedzieć, że jeśli zadajesz głupie pytanie, nie spodziewaj się mądrej odpowiedzi, bo pieszo, jak się wydaje, nie da się przejść przez kanał z Francji do Anglii, bo ponoć nie zamarza. Nie wiem, nie byłem, nie sprawdzałem, bo może jednak kiedyś zamarzł? Christof Wandratsch rzeczywiście pokonał kanał, ale wpław. Jest niemieckim pływakiem długodystansowym. Przepłynął go w istocie w rekordowym tempie: 7 godzin, 3 minut i 52 sekund. Nie zdarzyło się to w roku 2020, tylko w 2005.

Mógłbym powiedzieć, że sztuczna inteligencja znów skłamała, miała halucynacje – ale czy ja to wiem na pewno? A może to encyklopedia się myli? Jaką mam możliwość zweryfikowania takiej informacji?!

Można powiedzieć, że w gruncie rzeczy są to sprawy z gatunku: a gówno to kogo obchodzi. Ostatnio pytałem maszynę o datę pogrzebu księdza Tadeusza Isakiewicza-Zaleskiego. I to już jest skandal. Według sztucznego rozumu miał był się on odbyć 15 stycznia, choć tak naprawdę było to 17.

W gruncie rzeczy stworzyliśmy potwora, który każdą wiedzę zamienia w antywiedzę. Bazując na informacjach sieciowych wytworzonych przez człowieka, tworzy ich antyjakość. Od chwili pojawienia się ChatGPT, który miał wspomóc nas w odkrywaniu prawdziwej natury rzeczywistości, mamy prawo i obowiązek wątpić we wszystko.

Głupota oszuka głupców

Można rzec, że nic się nie zmieniło. Ludzie też się mylą, miewają halucynacje wzrokowe, słuchowe i pamięciowe. Jednak powstała różnica. Mamy maszynę, która wzmacnia błędy poznawcze i mylne rozumowe asocjacje. Ja tej obrabiarce nie wierzę, ale mój syn, przeciętnie rozgarnięty student, niezachwiany jest w zaufaniu. Zupełnie nie przejmuje się każdorazowo generowaną przez system informacją, że „są możliwe niespodzianki i błędy".

Rozsądny człowiek albowiem, jak czegoś nie wie, to nie odpowiada. Jeżeli wie coś w przybliżeniu, to z ostrożności i kurtuazji przypomina jednak o swojej omylności: „Wydaje mi się, że Warszawa jest stolicą Polski". Maszynie nie zaimplementowano takiej funkcji, która w gruncie rzeczy ma charakter natury etycznej, a nie żadnej innej.

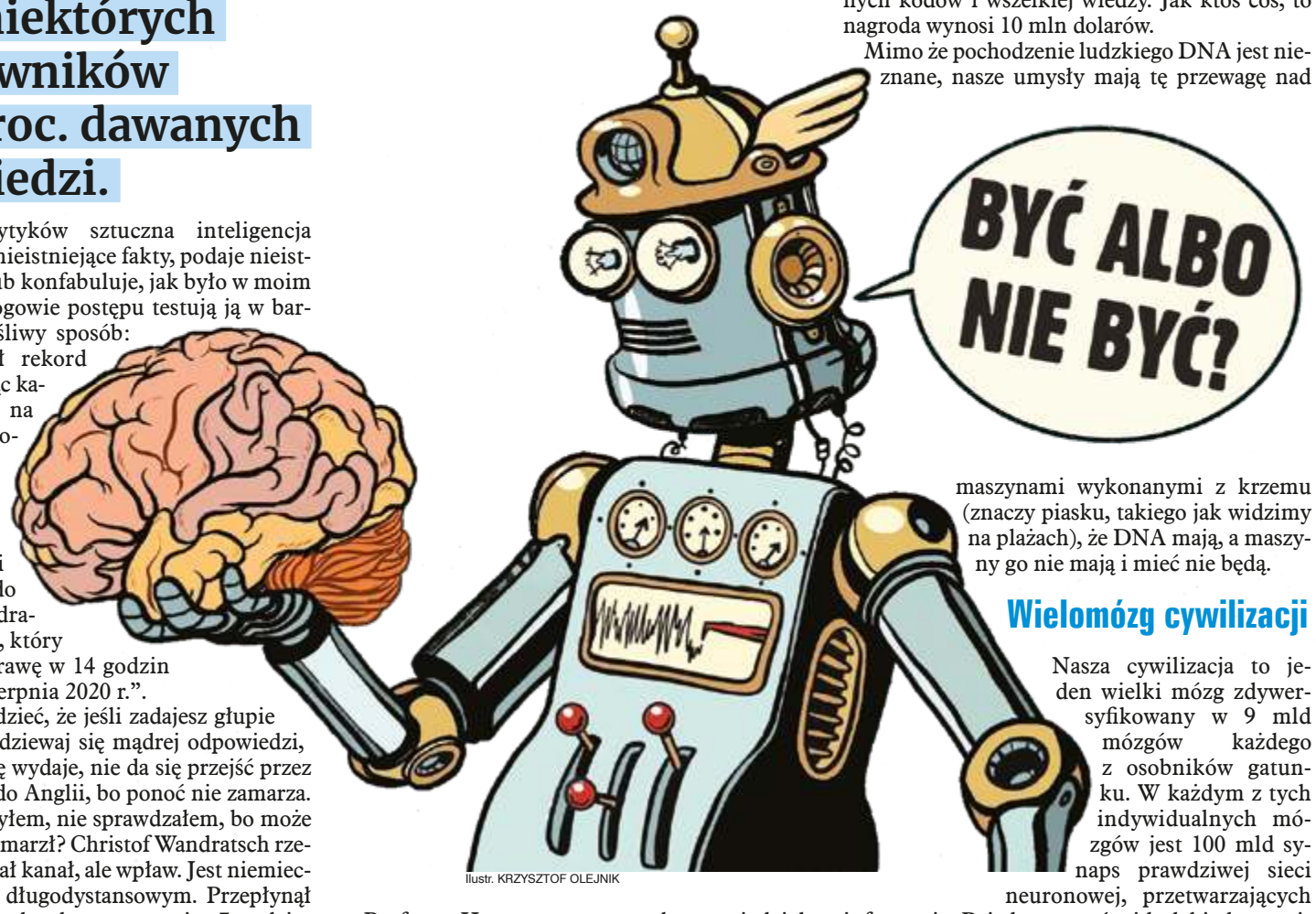

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Profesor Hartman zapewne by powiedział, że to są choroby młodości. Wszystkie te wady zostaną w miarę doskonalenia algorytmów sieci neuronowych wyeliminowane, a wtedy sztuczny umysł pokona człowieka. Odpowiadam tak: sztuczna inteligencja może pisać lepsze romanse, kryminały, wiersze – czyli wyszkolić się w sztuce kłamstwa, jakimi te utwory w gruncie rzeczy są. W dochodzeniu do prawdy będzie coraz bardziej ułomna i porazi tą ułomnością ludzkie umysły.

Sztuczny umysł nigdy nie dorówna ludzkiemu, wykonanemu z białka, z dwóch fundamentalnych przyczyn, ignorowanych przez wszystkich.

Zawsze będziemy górą

Jeżeli się zastanowimy, skąd czerpiemy wiedzę, to dostaniemy z pozoru oczywistą odpowiedź. Zdobywamy ją na uczelniach i w szkołach, czerpiemy z książek, gazet, internetu, własnego doświadczenia i interakcji z innymi ludźmi w warunkach dnia codziennego. Tylko że to nie jest prawda.

Otóż wszelka wiedza zgromadzona w formie martwych nośników to w gruncie rzeczy manifestacja naszych umysłów lub umysłów ludzi, którzy żyli przed nami. Zapewne był taki moment, kiedy jakiś ludzki umysł wygenerował pierwszą informację odebraną przez inny umysł. Mogła być ona werbalna w czasach, kiedy gatunek uczył się mówić, ale wcześniej mogła mieć, powiedzmy, charakter zapachowy. Może porozumiewaliśmy się gestami albo przekazywaliśmy informacje jeszcze w jakiś inny sposób, jak delfiny ultradźwiękami. Nie kwestionowałbym również wyśmiewanej obecnie telepatii.

Skąd się wzięła ta prainformacja, która doprowadziła nas do obecnego społeczeństwa informatycznego? Ona nie pochodziła z zewnątrz, ona pochodziła z wnętrza umysłu! Każdy z nas jest ogromnym konglomeratem wiedzy, co do której w 99 proc. w ogóle nie mamy świadomości.

Kiedy byłem zygotą, posiadała ona już informacje: gdzie mają mi wyrosnąć nogi, gdzie ręce, do czego służyć będzie żołądek, jak działać mają moje oczy, a jak uszy i że język ma wyczuwać smaki. Zygota ludzka wie, jak goić się mają rany nieistniejącego jeszcze człowieka, jak reagować będzie na nieprzyjemny zapach i kiedy osiągnie podniecenie seksualne. Również to, jak ma działać nasz mózg i którą stroną myśleć, było już dane wiedzieć naszej zygocie. Potężna i niewyobrażalna wiedza znajdowała się w łańcuchu DNA, skompilowanym z kodów DNA komórek matki i ojca. To informacja z kodu DNA wytworzyła wiedzę, którą mózgi manifestują za pośrednictwem narządów porozumiewania. Tak naprawdę niczego nie dowiadujemy się ponad to, co było już wcześniej w kodzie DNA naszego lub jakiegoś innego ludzkiego organizmu zapisane.

I tu pojawia się problem, skąd się wzięła wiedza zapisana w spirali DNA komórki. Na obecnym poziomie wyjaśnienie jest proste. Z komórek rodziców przekazywanych przez miliony pokoleń, a wcześniej organizmów, które były praludźmi, oraz ssaków, których jesteśmy dziećmi – i tak dalej, i dalej, aż dojdziemy do momentu 3,5 mld lat wstecz, kiedy z materii nieożywionej zsyntezował się półżywy organizm zwany wirusem. Ten potem wyewoluował w prawdziwie żywą komórkę. Niestety nie wiadomo, skąd wziął w tej pierwszej komórce się kod DNA, będący protoplastą kolejnych kodów i wszelkiej wiedzy. Jak ktoś coś, to nagroda wynosi 10 mln dolarów.

Mimo że pochodzenie ludzkiego DNA jest nieznane, nasze umysły mają tę przewagę nad maszynami wykonanymi z krzemu (znaczy piasku, takiego jak widzimy na plażach), że DNA mają, a maszyny go nie mają i mieć nie będą.

Wielomózg cywilizacji

Nasza cywilizacja to jeden wielki mózg zdywersyfikowany w 9 mld mózgów każdego z osobników gatunku. W każdym z tych indywidualnych mózgów jest 100 mld synaps prawdziwej sieci neuronowej, przetwarzających informacje. Pojedyncze mózgi ludzkie komunikują się ze sobą w każdej sekundzie na biliony sposobów i wymieniają globalnie terabajty informacji. Ten wszechświatowy mózg cywilizacji, który powstał miliardy lat temu, jest nieśmiertelny. Sam się reprodukuje i samodoskonali na uznanej za prawdziwą zasadzie ewolucji. I teraz chce się nam wmówić, że ta jedyna we wszechświecie potęga intelektualna zostanie pokonana przez urządzenie wielkości pralki? No nie, nie i jeszcze raz, kurwa, nie!

Niestety działa

Ale z uczciwości publicystycznej niestety muszę donieść o fakcie przeczącym temu, co powyżej. Uczestniczę w akademickim projekcie, który ma zaangażować sztuczną sieć neuronową do rozwiązywania problemów z zakresu prawa podatkowego.

Przez ponad trzy lata rejestrowano pytania studentów zadawane przy okazji wykładów, seminariów i szkoleń, na które odpowiadali profesorowie wydziałów administracji dwóch uniwersytetów. Konwersacja odbywała się za pośrednictwem czata. Student pisał z jednej strony. Profesor odpowiadał z innego komputera. W ten sposób powstał zapis ponad 3 tys. pytań i odpowiedzi.

Następnie pytania studentów w formie, w jakiej zostały napisane, często niegramatycznie, z błędami literowymi itd., wprowadzono do sieci neuronowej Microsoftu. To jeszcze nie jest zakończone. Przekopiowano około 280 rekordów.

Sieć odpowiedziała na wszystkie studenckie pytania bezbłędnie, bardziej wyczerpująco i językowo poprawniej, niż zrobili to profesorowie. Nie ma na razie żadnego błędu. Nie ukrywam własnego zdziwienia.

Choć może być to tylko pozornie niezgodne z zasadniczą tezą tego felietonu, można ów fenomen wyjaśnić w taki sposób: prawo podatkowe to fikcja, co wiedzą wszyscy, którzy podatków nie płacą, a tak wydaje się 40 proc. społeczeństwa.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

* Jan Hartman, „Sztuczna inteligencja nas zje", „NIE" 13/23, 31 marca 2023, str. 14.

PS Ten artykuł napisany został bez wspomagania sztuczną inteligencją ChatGPT-4.

REKLAMA

eprasa.pl a2ff4f8b46

Bankstertwo kontratakuje?

„NIE" rozmawia z radcą prawnym **KAROLINĄ MARUSIŃSKĄ-BILBIN**, partnerem Kancelarii KMB Legal.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Frankowicze są przekonani, że bank stać na najlepszych prawników, którzy zawsze wygrywają. Tymczasem jest zupełnie inaczej.

– We Francji tamtejszy BNP do wszystkich swoich frankowiczów rozesłał propozycję ugody sprowadzającą się do tego, co orzekł TSUE. Czyli jeśli ktoś dostał od banku kilkanaście lat temu tysiąc euro przeliczane na franka szwajcarskiego, to gdy spłacił ten tysiąc euro, bank nie chce od niego nawet eurocenta więcej. Jeśli zaś nadpłacił, to bank nadpłatę zwraca. BNP działający w Polsce i wszystkie inne banki, które udzielały kredytów we frankach i euro, w sądach przegrywają. Mimo to wolą płacić olbrzymie kwoty prawnikom, odsetki frankowiczom i wykładać ciężkie pieniądze na apelacje, o których wiadomo, że są przegrane. Ich akcjonariusze nie widzą, że to nieracjonalne wydawanie gigantycznych pieniędzy?

– Jeden z banków bardzo mocno uwikłanych w kredyty frankowe opublikował dane, z których wynika, że na koszty obsługi procesów sądowych wydał w samym roku 2022 prawie 400 mln zł. Podobnie zresztą jak rok wcześniej. Jednocześnie na odpisy w bilansie zabezpieczające środki na realizację przyszłych przegranych wyroków z frankowiczami i eurowiczami bank przeznaczył 5 mld zł. Zatem koszty sądowe stanowią jedynie 8 proc. kwoty odpisów. Jeśli dzięki kosztownym procesom sądowym bankowi uda się przestraszyć część swoich klientów i przekonać ich do zawarcia korzystnych dla banku ugód, to bank wyjdzie na swoje.

– Co banki proponują w takich ugodach?

– Najczęściej stosują się do rekomendacji KNF i proponują przeliczenie kredytów frankowych na złotówkowe od chwili zawarcia umowy. Takie ugody są korzystne wyłącznie dla banków, a nie dla kredytobiorców. Bo jeśli ktoś kiedyś dostał z banku 300 tys. zł kredytu, który po latach dzięki kursowi franka i odsetkom urósł do 700 tys. zł, dzięki ugodzie ma do spłaty o jakieś 100 tys. zł mniej. Ale tylko teoretycznie, bo przecież niespłacona część długu jest oprocentowana według stawki WIBOR. Tej od kilku lat spędzającej sen z powiek setkom tysięcy osób, które wzięły pożyczkę w złotówkach i raty wzrosły im niemal dwukrotnie. Gdyby kredytobiorcy, zamiast podpisać z bankiem ugodę, wnieśli sprawę do sądu, to dzięki orzecznictwu krajowemu i temu z TSUE uzyskaliby unieważnienie kredytu i musieliby bankowi oddać tylko tyle, ile od niego dostali, bez żadnych odsetek.

– Jakim cudem bankom udaje się zmuszać ludzi do niekorzystnych dla nich ugód?

– Najczęściej dochodzi do tego, bo kredytobiorcy nie znają przysługujących im praw i boją się prawników lub sądów. Są przekonani, że bank stać na najlepsze kancelarie, które zawsze wygrywają. Dlatego kiedy dostaną propozycję nawet niewielkiego zmniejszenia swojego zadłużenia, to bez konsultacji z prawnikami się na nią zgadzają. Coraz częściej kontaktują się z nami kredytobiorcy, którzy kilkanaście czy kilkadziesiąt miesięcy temu podpisali ugody z bankiem i teraz czują się ponownie oszukani, bowiem z uwagi na wzrost stóp procentowych raty ich kredytu po zawartej ugodzie są wyższe, niż wcześniej płacili we franku szwajcarskim lub euro. Niestety podpisanie ugody z bankiem w zasadzie uniemożliwia późniejsze go pozwanie. Drugim powodem zawierania niekorzystnych ugód jest obawa przed kosztami sądowymi i wynajęciem prawnika. Tymczasem początkowe wynagrodzenie kancelarii to wysokość jednej, dwóch rat, a opłata sądowa wynosi 1000 zł. Po uzyskaniu od sądu wstrzymania obowiązku spłaty rat pieniądze te zwracają się już po kilku miesiącach.

– Na głównych portalach często pojawiają się informacje, że orzeczenia TSUE wcale nie są do końca przeciw bankom. Do tego dochodzą newsy, że w polskim Sądzie Najwyższym w sprawach o franki potrafią być zupełnie odmienne orzeczenia. Znając świat mediów, domyślam się, że działa tu po prostu lobbing i część publicystów ekonomicznych ma z tego straszenia parę groszy. Jak to wygląda z punktu widzenia osoby na co dzień zaangażowanej w procesy z bankami?

– TSUE od kilku lat wprost wskazuje, że zgodnie z dyrektywą unijną udzielanie kredytów frankowych lub eurowych było nadużyciem, o ile nie oszustwem. Każde kolejne orzeczenie w sprawach związanych z kredytami frankowymi stanowi potwierdzenie, że Trybunał zdecydował się działać w sposób, który zniechęca nieuczciwe banki do oszukiwania klientów, uniemożliwiając w ten sposób pojawienie się podobnych pomysłów w przyszłości u jakiegokolwiek nieuczciwego przedsiębiorcy. Za ilustrację mogą tu posłużyć orzeczenia TSUE stanowiące, że w przypadku unieważnienia umowy kredytowej bank nie może żądać od kredytobiorcy spłaty należności przewyższających początkowo wypłacony kapitał wraz z odsetkami za opóźnienie od daty wymagalności.

Zdaniem TSUE niezgodne z prawem działanie podmiotu nie może stanowić dla niego źródła dodatkowych korzyści. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wręcz zobowiązał sądy do udzielania zgody na wstrzymanie obowiązku płatności rat dla frankowiczów, którzy spłacili kwotę otrzymaną od banku. Dzięki udzieleniu przez sąd takiego zabezpieczenia roszczenia frankowicz nie musi już spłacać kolejnych rat kredytu podczas trwania procesu.

To tylko kilka z ostatnich frankowych orzeczeń Trybunału. W świetle grudniowych i czerwcowych uchwał TSUE ugoda z bankiem na innych zasadach niż wynikające z dotychczasowego orzecznictwa TSUE jest więc skrajnie nieopłacalna.

Pytał pan też o sprawę w Sądzie Najwyższym. Faktycznie, banki bardzo nagłośniły wydanie jednego dnia przez trzech nowo powołanych do SN sędziów niekorzystnego rozstrzygnięcia dla kredytobiorców. Ale te trzy wyroki należy traktować jako eksces orzeczniczy. Tylko dzień później Sąd Najwyższy wydał sześć kolejnych wyroków zgodnych z prokonsumenckim stanowiskiem TSUE. Tyle że o korzystnych dla frankowiczów i eurowiczów wyrokach banki już tak spektakularnie opinii publicznej nie informują.

– Ostatnie miesiące pokazały, że banki chyba znalazły sposób na pozbycie się problemu frankowiczów. I wcale nie chodzi proponowanie im tego, co francuski BNP. Myślę o Getin Banku i VeloBanku. Ten pierwszy został tzw. wydmuszką. Wyprowadzono z niego aktywa do nowo utworzonego VeloBanku. W Getinie zostały tylko długi. I to takie, których bank nie jest w stanie spłacić, bo nie ma z czego. Frankowicze, którzy nadpłacili kapitał i powygrywali z nim sprawy, mają problem, bo mogą nie odzyskać kasy, którą przyznały im sądy.

– Tym pytaniem przypomniał mi pan o jeszcze jednym powodzie nieskładania pozwów przez frankowiczów. Niektórzy z nich jeszcze nie uregulowali wobec banku całej kwoty, którą od niego otrzymali. Czekają więc ze złożeniem pozwu do sądu do chwili, gdy skończą spłacać. Moim zdaniem robią błąd. Na ustalenie terminu rozprawy czeka się teraz co najmniej rok, a bywa, że nawet ponad dwa lata. W tym czasie każdy będzie mógł spokojnie spłacić brakującą mu kwotę. I gdy tylko ją spłaci, może wnieść do sądu wniosek o wstrzymanie obowiązku spłaty rat kredytu.

Więc nawet jeśli kolejny bank zdecyduje się skorzystać z tego, co zrobiono z VeloBankiem i Getin Noble Bankiem – to przynajmniej kredytobiorca frankowy lub eurowy nie straci tyle, ile straciłby, nadpłacając kwotę pożyczoną, której nie mógłby potem odzyskać. Dlatego jeśli ktokolwiek ma jeszcze do spłaty kilka lub kilkanaście rat do osiągnięcia pożyczonej kwoty, nie ma co się zastanawiać, tylko lepiej niezwłocznie składać pozew.

– Gdzieś czytałem, że najliczniejszą grupą frankowiczów, którzy nie poszli jeszcze do sądów, są ci czekający na ustawę, która uwzględni to wszystko, co orzekł TSUE, i zakończy ich problem.

– Nad taką ustawą nikt nie pracuje. Owszem, kolejny projekt przygotowuje Związek Banków Polskich, ale chyba nie ma co liczyć, że ta propozycja będzie po myśli frankowiczów. Na szczęście ministrem sprawiedliwości jest Adam Bodnar, który jako rzecznik praw obywatelskich bardzo wspierał starania frankowiczów w walce z bankami. Teraz doniesienia z jego resortu mówią, że minister zamierza wzmocnić kadrowo obsadę tych wydziałów sądów, które rozpatrują pozwy frankowiczów i osób mających kredyty w euro. To dobry prognostyk na przyszłość. Na korzystną ustawę nie ma co liczyć, bo nowa koalicja pozwoli sprawę kredytów w walutach rozegrać za pośrednictwem sądów i jest szansa, że skróci się czas oczekiwania na korzystny wyrok.

– A może jednak banki, by nie wydawać koszmarnej kasy na procesy, zrobią to, co we Francji zrobił BNP Paribas?

– Jeśli banki wciąż będą zawierały tak niekorzystne dla frankowiczów lub eurowiczów ugody jak teraz, to chyba nie ma na to szans w najbliższych pięciu, sześciu latach. A w tym czasie wszyscy ci frankowicze i eurowicze, którzy teraz złożą pozwy, po wygraniu procesów już dawno zapomną, że dali się złapać bankom w walutową pułapkę.

Rozmawiał
TOMASZ BOROWIECKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

Na łamach „Newsweeka" ukraińskich poborowych barwnie opisują dowodzący nimi oficerowie: „Widzimy coraz więcej ludzi w wieku od 45 do 47 lat. Brakuje im tchu, zanim jeszcze dotrą na linię frontu – narzekał jeden z oficerów. Średni wiek żołnierza to dziś 43 lata, o 10 lat więcej niż w marcu 2022 r. Dowódcy coraz częściej narzekają, że dowodzą jednostkami rekrutów, których przydatność bojowa jest wątpliwa. – Niektórzy z nich nie są w stanie nawet strzelać, tak boją się odgłosu wystrzału. Inni stanowczo zbyt wiele pili w dotychczasowym życiu. Trzech na 10 nowych pojawiających się na froncie nie jest wcale lepszych od pijaka, który zasnął z przepicia i nagle obudził się w mundurze – powiedział oficer walczący w okolicach Awdijiwki. Jednego rekruta instruktorzy musieli podtrzymywać, aby mógł strzelać, bo był kaleką z powodu alkoholizmu". Tacy żołnierze nie dość, że Krym odbiją, to jeszcze Moskwę zdobędą.

Doradca prezydenta Ukrainy Michaił Podolak określił na łamach „Ukraińskiej Prawdy" warunki, które musi spełnić Rosja przed rozpoczęciem negocjacji pokojowych: „Pierwszy to taktyczna porażka Rosji na Ukrainie. Drugim jest skuteczne działanie sankcji, kiedy europejskie firmy wreszcie opuszczą rynki Federacji Rosyjskiej. A trzeci element to rozpoczęcie w Rosji procesów, które widzieliśmy latem 2023 r., gdy bunt wzniecił Prigożyn. Potem być może będziemy świadkami istotnego wewnętrznego konfliktu społecznego w Federacji Rosyjskiej. Po czwarte, koniecznym warunkiem do rozpoczęcia negocjacji jest także dobrowolne zrezygnowanie przez Rosję z broni nuklearnej". Najwyraźniej mimo kryzysu wódki w Kijowie nie brakuje.

Podczas wizyty nad Dnieprem premier Donald Tusk ogłosił, że poseł Paweł Kowal (PO) został pełnomocnikiem ds. odbudowy Ukrainy. Czekamy, aż na pełnomocników ds. Niemiec zostaną powołani Czaja i Hupka.

Ukraiński dyplomata związany z ekipą Zełenskiego Wadim Prystajko skomentował zapewnienia rządu w Londynie, że brytyjscy żołnierze nie wezmą udziału w wojnie na Ukrainie: „Teraz mówicie swoim ludziom, że »nigdy, nigdy nie wyślemy«. Może się zdarzyć, że będziecie musieli to zrobić". Najwyraźniej skończyły się już czasy, gdy za sugerowanie, że niebawem na front zostaną wysłani obywatele NATO, zostawało się z urzędu ruską onucą.

Słowacki premier Robert Fico na falach radia publicznego stwierdził, że Ukraina jest jednym z najbardziej skorumpowanych państw na świecie, a „co najmniej od 2014 r., od Majdanu, jest pod totalnym wpływem i kontrolą USA". Fico odniósł się także do perspektyw na zakończenie wojny: „Musi dojść do jakiegoś kompromisu, który będzie bardzo bolesny dla obu stron. A na co oni czekają? Że Rosjanie opuszczą Krym, Donbas i Ługańsk? To nierealne". Niegdyś Andrzej Rosiewicz śpiewał, że „wieje wiosna ze wschodu", dziś chciałoby się zaśpiewać: „wieje rozsądek z południa".

Interesujące informacje napływają znad Potomacu. Jak donosi „Dziennik Gazeta Prawna": „Jeśli Kongres nie wyasygnuje w ciągu najbliższych dni funduszy dla Ukrainy, to Rosja może wygrać wojnę w ciągu kilku miesięcy lub nawet tygodni – taką ocenę sytuacji przedstawili kongresmenom na zamkniętym spotkaniu w minionym tygodniu Jake Sullivan, prezydencki doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, oraz Arvil Haines, dyrektor Wywiadu Narodowego USA". Tylko tych pieniędzy i broni, które władowaliśmy w Ukrainę, trochę żal.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl a2ff4f8b46

Kobiety na boiska

Pisanie o polskiej piłce nożnej nie należy do przyjemnych zajęć. Chyba że pisze się o reprezentacji kobiecej.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Podobnie jak większość kibiców oglądam sporo meczów w telewizji. Widziałem nieszczęsne eliminacje polskiej drużyny do mistrzostw Europy w Niemczech. Patrzę na naszych piłkarzy występujących w zagranicznych, czasem nawet znaczących klubach. Wniosek może być jeden: katastrofa polskiego futbolu jest coraz bliżej, nawet gdyby udało się w barażach zakwalifikować do europejskiego czempionatu. Starsi zawodnicy tracą z wiekiem formę, młodych nie widać. Jeśli chodzi o postępy, obserwuję je właściwie tylko w grze naszej kobiecej reprezentacji.

Dziewczyny dają radę

Wystarczy powiedzieć, że w światowym rankingu FIFA Polki wyprzedziły swoich kolegów. Reprezentantki naszego kraju sklasyfikowane są w nim na 29. miejscu, reprezentanci – o dwa miejsca niżej.

Polacy, wyłączywszy bramkarzy, których aż nadmiar reprezentuje światowy poziom, w swoich klubach spisują się kiepsko. Czasem zdarzy się jednemu czy drugiemu dobry mecz, o stabilizacji formy nie można jednak mówić.

Nawet tak wychwalany przez telewizyjnych sprawozdawców Piotr Zieliński z SSC Napoli rzadko grywa całe mecze. Teraz jego sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana. Długi czas nie podpisywał nowej umowy, zwodził swój klub, aż wreszcie ogłosił, że nosi się z zamiarem przejścia do konkurencji. Zachowywał się trochę tak jak Kylian Mbappé w Paris Saint-Germain, tyle że Zieliński Kylianem Mbappé nie jest. Odstawiono go więc od podstawowego składu, co na pewno nie jest korzystne dla reprezentacji Polski.

PZPN wstrząsany jest aferami; nawet obserwując wszystko z daleka, widać, że panuje tam bałagan, nikt nie ogarnia sytuacji. Pisałem już o obrzydliwych scenach podczas lotu reprezentacji z Mołdawii do Polski, gdzie pokaz chamstwa dali zaproszeni przez PZPN pijani goście. Sporo uwagi poświęciłem alkoholowej aferze naszej młodzieżówki U-17 w dalekiej Indonezji. 15-latkowie po przyjeździe na Węgry wynosili z autokaru skrzynie ze sprzętem sportowym. Gdy otworzyli jedną z nich, okazało się, że dźwigają czteropaki piwa. Alkohol przemycany był także – jak odkryli dziennikarze – do hotelu, w którym mieszkali działacze podczas mistrzostw świata w Katarze. Pomagać miała im w tym Ambasada RP.

Przyznaję, że na występy futbolistek długo patrzyłem z dużym dystansem. Dopiero transmisje z mistrzowskich imprez, zarówno w wydaniu klubowym, jak i reprezentacyjnym, zmieniły moje podejście do gry zawodniczek. Panie potrafią już dużo, naprawdę dużo. Oczywiście kobiety nigdy nie będą biegać tak szybko jak mężczyźni, ale na tyle poprawiły technikę i wykonywanie zadań taktycznych, że widowisko fajnie się ogląda. Brak fizycznych starć sprawia, że czasem fajniej niż męskie rozgrywki.

Niejako z rozpędu zacząłem oglądać mecze Polek. Na trybunach wciąż sporo wolnych krzesełek (choć podczas meczu Polek z Belgijkami w eliminacjach do mistrzostw świata na trybuny w Gdańsku przyszło 8011 widzów), ale na boisku coraz ciekawiej. No, może wyniki jeszcze nie są rewelacyjne, lecz od czasu, gdy kadrę Polek przejęła Nina Patalon, wykuwa się konkretne oblicze drużyny. Zawodniczki wiedzą, co mają grać, a taktyka dostosowana jest do ich możliwości.

Jeśli tylko jakiemuś działaczowi PZPN nie przyjdzie do głowy, żeby w kadrze piłkarek zamieszać – a to jest możliwe, bo w zeszłym roku niespodziewanie zmieniono selekcjonera męskiej reprezentacji U-19 – można być pewnym, że katastrofa jej nie grozi i wreszcie zakwalifikują się do finałów mistrzostw Europy lub świata.

Od dynastii Han do munitionetek

Historia kobiecej piłki nożnej jest chyba nawet dłuższa niż męskiej. Na freskach z czasów chińskiej dynastii Han (25–220 r.) przedstawiono sylwetki kobiet grających w coś, co może przypominać futbol. W Europie panie też wcześnie zabrały się za kopanie piłki. Rozgrywki w szkockim ośrodku administracyjnym Midlothian zaczęły się pod koniec XVIII w.

Kobieca piłka cieszyła się w Wielkiej Brytanii dużym zainteresowaniem, na mecze przychodziło czasem kilkadziesiąt tysięcy kibiców. Pierwszy złoty wiek tej dyscypliny przypadł na lata I wojny światowej. Mężczyźni poszli na front, ich miejsce w fabrykach zajęły kobiety. Weszły też z impetem na piłkarskie boiska. Panie miały coś w rodzaju ligi, mianowicie powołano turniej żeńskich drużyn zakładów zbrojeniowych, znany jako Puchar Munitionettes.

Munitionettes – tak nazywano kobiety zatrudnione w brytyjskich fabrykach amunicji. Pierwszymi zdobywczyniami trofeum były piłkarki Blyth Spartans AFC. Klub istnieje zresztą do dziś, ale w męskim wydaniu. Kibice mogli o nim nie słyszeć, bo gra na poziomie 6. ligi.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia w 1917 r. rozegrano pierwszy mecz międzypaństwowy. Reprezentacja Anglii zmierzyła się z drużyną Irlandii. Widowisko odbyło się na oczach ponad 20 tys. widzów. Nie mierzono wówczas rekordów frekwencji, nie istniały kołowrotki liczące dokładnie osoby wchodzące na trybuny, na których zresztą większość miejsc była stojących. Wszystkie źródła podają jednak, że po pierwsze, panie grały bardzo atrakcyjny futbol, a po drugie – ludzie pchali się na stadiony, żeby to zobaczyć. Na ligowe mecze przychodziło nawet ponad 50 tys. kibiców, o czym działacze naszej żałosnej męskiej Ekstraklasy nie mogą nawet pomarzyć.

Sukcesy brytyjskich futbolistek były przyczyną ich klęski. Gdy mężczyźni wrócili z frontu do fabryk i zaczęli kopać piłkę, angielska federacja futbolowa (FA) zakazała paniom wychodzenia na boiska. Po prostu

jedną administracyjną decyzją kobiecy futbol został zlikwidowany. Argumentacja działaczy była bardzo prosta: „Gra w piłkę nożną jest zupełnie nieodpowiednia dla kobiet”.

Każdemu klubowi, który wpuściłby na swoje boisko płeć piękną, groziło wykluczenie z federacji.

Dziennikarze sportowi zwracali uwagę, że ta bezduszna decyzja miała inne, bardzo konkretne przyczyny. FA nie miała finansowej kontroli nad żeńskimi rozgrywkami, a pieniądze już zaczęły odgrywać w futbolu coraz większą rolę. Nie bez znaczenia było także bardzo powszechne, choć nieładne uczucie, jakim jest zazdrość. Zawodniczki były często popularniejsze od zawodników.

Panie mają charakter, o czym mogliśmy się niedawno przekonać podczas wyborów parlamentarnych. Brytyjskie piłkarki nie zamierzały poddawać się bez walki. Część drużyn kontynuowała grę pod patronatem Związku Rugby, który nie podporządkował się zakazowi FA. Przez dwa lata grano więc na boiskach do rugby, a panie zawiązały Angielski Związek Piłki Nożnej Kobiet (1921–1922). Ostatecznie jednak przegrały.

Wyboista droga do piłki

Tak też było w innych krajach, które dziś mogą się chlubić świetnymi klubami i reprezentacjami. Wszędzie wydano zarządzenia podobne do tych, jakie swego czasu wydała FA. W każdym kraju uzasadnienie było takie samo: futbol nie jest zajęciem dla kobiet.

Francuska Federacja zakazała kobiecej piłki nożnej w 1941 r., Niemiecki Związek Piłki Nożnej w 1955 r. W Brazylii dyktatura wojskowa zabroniła dziewczętom i kobietom występów w 1941 r. Zakazy te zniesiono dopiero w latach 70. minionego stulecia i od tego czasu zaczęła się druga złota epoka kobiecego futbolu.

W Polsce nikt nie zabraniał paniom gry w piłkę. To raczej one same nie rwały się do tego sportu. Owszem, jakieś tam mecze odbywały się już na początku XX w. Ale były to gry nieoficjalne, towarzyskie. Nikt nie notował wyników, podobnie jak nie mają swoich kronikarzy chłopcy kopiący futbolówkę na podwórkach czy na tych orlikach, których poprzednia władza nie zdołała zniszczyć. Ani nie pamiętam, ani nie znalazłem w historycznych źródłach jakiegoś oficjalnego zakazu, ale za moich licealnych czasów dziewczynom nie wolno było grać w nogę na naszym szkolnym boisku, zresztą nie bardzo miały na to ochotę.

W ogóle na futbol w szkołach patrzono niechętnie. Po prostu grono pedagogiczne bało się o urazy i kontuzje, za które szkoła ponosiłaby odpowiedzialność. My za to wykorzystywaliśmy każdą okazję, żeby pokopać piłkę, bo zapatrzeni byliśmy w wielkie gwiazdy naszego futbolu. Koleżanki nie miały kogo naśladować, bo znanych piłkarek u nas nie było. Ich sportowa aktywność ograniczała się więc do ślizgawki w zimie, chyba że któraś zdecydowała się na zawodnicze treningi w klubie. Ale na pewno nie był to klub piłkarski.

Pierwszym zarejestrowanym piłkarskim żeńskim klubem w Polsce była sekcja sportowa przy TS Unia Poznań. Zaczęła działać we wrześniu 1921 r., ale nie przetrwała nawet roku. Nie, nikt nie zakazywał jej działalności. Po prostu poznanianki nie miały z kim grać, bo nie było żadnych konkurentek.

Pewne ożywienie nastąpiło w PRL. Grały między sobą, oczywiście towarzysko, drużyny branżowych klubów, np. kolejarskich, portowych itp. Nie będę szczegółowo rozpisywać się o historii tej dyscypliny, każdy może sobie ją znaleźć w internecie – dość powiedzieć, że jeszcze do niedawna panie grały bezpłatnie, chyba że którejś udało się przebić na Zachód i rozpocząć występy w zawodowej drużynie. W tym czasie na zachód od Odry nastąpił bowiem wielki rozkwit żeńskiej piłki. Ewa Pajor z VfL Wolfsburg została nawet gwiazdą europejskiego formatu.

Wątpliwe równouprawnienie

Na pewno przyczyniły się do tego kontynentalne i światowa federacje piłkarskie. Można (i trzeba) krytykować je za wiele posunięć, ale akurat w przypadku kobiecej piłki nożnej zrobiono wiele dobrego. Do tego, aby zrównać w prawach piłkarzy i piłkarki, jest jednak jeszcze długa droga, zapewne nie do pokonania, ale coś się zmieniło na lepsze.

Zawodniczki czasem same potrafią zadbać o swoje prawa. Amerykanki np. dostają za międzypaństwowe mecze takie same premie jak ich koledzy i są kwaterowane w nie gorszych hotelach. W klubach jednak, nawet tych najlepszych i najbogatszych, dostają pieniądze na niezłe utrzymanie, ale nie zabezpieczą przyszłości swoich wnuków i prawnuków jak piłkarze. Tego ani UEFA, ani FIFA nie zmienią.

Czasem równościowe zapędy FIFA przybierają zaskakujący kształt. Po raz pierwszy w historii mistrzyniami świata zostały Hiszpanki, które w finale pokonały faworyzowaną reprezentację Anglii (1:0). Podczas ceremonii dekoracji na stadionie w Sydney prezes hiszpańskiej federacji Luis Rubiales tak serdecznie gratulował zawodniczkom, że jedną z nich, Jennifer Hermoso, pocałował w usta. Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi, sama zawodniczka nie zgłaszała protestów, po jakimś czasie rozpętała się jednak burza. Działacza oskarżono o naruszenie czci zawodniczki, niemal o jakiś lubieżny czyn na oczach milionów telewidzów. Sama piłkarka szybko zmieniła zresztą front i stwierdziła, że na ten pocałunek w żadnym momencie nie było jej zgody.

Rubiales przeprosił za wszystko i tłumaczył się, że pocałunek był spontaniczny, zrozumiały w chwili tak wielkiej radości. Na nic mu się to zdało. Stracił stanowisko.

Wyobrażam sobie, jak musieli się uśmiechać pod wąsem trenerzy pedofile, którzy obmacują zawodniczki i zawodników albo posuwają się nawet dalej. Nie robią tego oczywiście przed kamerami, ale w zaciszu hal sportowych lub w swoich kanciapach. Nie brak takich – za przeproszeniem – szkoleniowców także w Polsce. Pod tym względem sport kobiecy i męski osiągnęły zresztą równouprawnienie.

Pod innymi jeszcze nie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 24.01.2024 r.**

eprasa.pl a2ff4f8b46

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Ja pierdykam – głośno westchnął premier Donald Tusk. To było siedemnaste głośne westchnięcie dzisiaj, choć jeszcze nie było południa.
– Co znowu? – zapytał minister Marcin Kierwiński, którego akcje wyraźnie podrożały po zatrzymaniu Kamińskiego i Wąsika.
– Nowacka… Zaklinała się, że z podwyżkami dla nauczycieli nie będzie siary, a jest.
– Jedna Nowacka wiosny nie czyni.
– A komisja kopertowa? – zapytał premier i głośno westchnął osiemnasty raz. – Z Jońskiego jest taki przewodniczący jak ze mnie francuski piekarz, a do tego ta Filiks… Żenada jak stąd do Radomia.
– Do Przytuł Starych – zachichotał Kierwiński.
– Jak jeszcze Bodnarowi się nie uda, to nie wiem, jak sobie z tym wszystkim damy radę – westchnął Tusk dziewiętnasty raz i postanowił z tym skończyć. Ze wzdychaniem.

• • •

– Ja pierdykam – szepnął poseł Zbigniew Ziobro.
– Gorzej się czujesz? – również szeptem zapytał europoseł Patryk Jaki, także z Suwerennej Polski. Siedział na brzegu szpitalnego łóżka i trzymał lidera partii za rękę.
– Wciąż się zastanawiam, czy wyjechać, czy zostać.
– Trzeba poczekać na wynik testu Obajtka.
– Testu Obajtka?
– Jak zamkną Obajtka, to trzeba stąd pryskać – odparł Jaki.
– Niedawno mówiłeś, że trzeba pryskać, jak zamkną Mariusza i Maćka – wypomniał smutno Ziobro.
– Nie myślałem, że te fujary będą miały aż taki rozmach. Nie dałbym grosza za Bodnara, wyglądał na największego ciamciaramcię, a tymczasem wyprzedza wszystkich w skakaniu na pochyłe drzewo.
Ziobro nie zrozumiał porównania, ale nie chciał się do tego przyznawać.
– A ty co? Chcesz zostać w Brukseli? – zadał pytanie.
– Na mnie nic nie mają – błyskawicznie odpowiedział Jaki. – Niczego nie podpisywałem, wykonywałem tylko rozkazy, mogą mi skoczyć. Ale jeśli zamkną Obajtka, to nie wiem…
– To pewne, że go zamkną – orzekł Ziobro. – Ja poczekam, czy zapudłują Sasina. Jeżeli tak, to mnie już tu nie będzie.

• • •

– Ja pierdykam! – zawołał agent Centralnego Biura Antykorupcyjnego i zdjął z uszu słuchawki.
– Co jest? – zapytał drugi agent. Obaj siedzieli w furgonetce udającej ambulans i od kilkunastu dni podsłuchiwali Ziobrę.
– Figurant chce pryskać za granicę! Trzeba powiadomić ministra Siemoniaka!

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA zamierza obchodzić urodziny **JOANNY SENYSZYN**, choć ta po pięćdziesiątce przerzuciła się na świętowanie imienin. Wołka to nie zniechęca.

Wołk-Łaniewska: – No jak to: świętujesz imieniny?! Przecież to katolski obyczaj, ku pamięci świętych patronów! Nie wstyd ci?
Senyszyn: – A niby dlaczego? Imieniny obchodzę na swoją cześć, bo przecież nie niejakiej Joanny Beretty-Molly, którą JP2 uświęcił za to, że nie chciała ratować swojego życia kosztem płodu i umarła, osierocając czworo dzieci.

– No widzisz, co za głupi pomysł z tymi imieninami? Zamierzam bojkotować twoje imieniny. I każde inne. Za to urodziny… Kochani Czytelnicy! 1 lutego 1949 r. w przepięknej Gdyni urodziła się Joanna Senyszyn! Alleluja!
– Skończyłaś?

– Ależ skąd! To byłyby bardzo krótkie obchody. Opowiedz coś!
– O czym?

– O tym radosnym wydarzeniu.
– Skoro nalegasz. Otóż byłam śliczna…

– No, teraz to już przesadzasz. Nowo narodzone dzieci wyglądają jak ugotowane sowy.
– Nie wiem, czy akurat sowy, ale faktycznie tylko w oczach najbliższej rodziny są cudne. Pamiętam opowiadanko ze „Szpilek" (pamiętasz taki tygodnik?), jak to goście przyszli oglądać nowo narodzonego potomka: „łysy, bez zębów, brzuch wielki, nogi krótkie i krzywe. Ktoś powiedział: wykapana babcia. Kopnęliśmy go w kostkę, bo nawet chamstwo musi mieć jakieś granice"… Ale wracając do mnie: naprawdę byłam śliczna. Dziś pewnie bym reklamowała WOŚP i sprzęt ratujący życie wcześniakom. Wyobraź sobie, miałam kruczoczarne gęste kręcone włosy, duże niebieskie oczy, czarne rzęsy i brwi, a że ważyłam niespełna 2 kg, wyglądałam jak mała opalona laleczka.

– Słońce cię opaliło w tym lutym?
– Jakie słońce? Żółtaczka. A wracając do porodu, mama myślała, że to jeszcze ze dwa miesiące. Spokojnie zrobiła sobie kurację z oleju na włosy, żeby się poprawiły, a tu nagle złapały ją bóle, więc szybko do szpitala, gdzie lekarz – mama miała prywatnego lekarza, bo miała już 37 lat i wolała się zabezpieczyć – powiedział, że to potrwa, więc jeszcze sobie pójdzie na kolację. A mama na to: „Jak pan przy mnie nie będzie cały czas, to nie zapłacę".

– I, niech zgadnę, został.
– Został, pomógł i zaraz się urodziłam. Ponieważ w szpitalu nie było inkubatorów, powiedział mamie, że jak mam przeżyć, musi mnie natychmiast zabrać do domu i zapewnić temperaturę 36 stopni.

– Czego?
– Celsjusza.

– W domu, w lutym? W 1949 r.?
– Ano. Ojciec był w morzu, ale na szczęście mama była operatywna, kupiła na lewo kilka ton węgla i zapłaciła dozorcy, żeby hajcował na okrągło. W całym pięciopiętrowym budynku było ponad 30 stopni, bo ogrzewanie było wspólne oczywiście.

– Nikt nie przyszedł cię udusić poduszką dla dobra wspólnego?
– Ludzie byli wtedy życzliwi, uważali, że po wojnie, jak się dziecko rodzi, to wielkie szczęście dla wszystkich. A może już przeczuwali, co ze mnie wyrośnie? W każdym razie przez cały luty kamienica żyła z otwartymi oknami. Ale to i tak było za mało, więc jeszcze dodatkowo Fela, nasza gosposia, grzała wodę i obkładała mnie w łóżeczku butelkami z wrzątkiem. I tak to nie umarłam z tego wcześniactwa.

– Chwała bogu!
– Coś ty takiego wzmożenia religijnego dostała? Imienin to nie chcesz świętować, a boga wzywasz nadaremnie, niczym posłowie podczas ślubowania…

– A bo się cieszę, że nie umarłaś!
– Ja bardziej.

– No może, ale ja prawie tak samo! A skoro już o mamusiach troskliwych się zgadało: słyszałaś, co ostatnio wymyślił Korwin-Mikke?
– W sprawie mamuś?

– I córeczek. Miał nawet wygłosić na ten temat wykład na jakiejś prywatnej uczelni w Krakowie, ale uczelni zmiękła rura i odwołała wynajęcie sali. Wymyślił otóż, że należy znieść wiek zgody, bo o tym, czy dziewczyna może się chędożyć, nie powinno decydować „jakieś grono zaślinionych staruchów w sejmie"…
– Jednak musi to regulować prawo. Inna sprawa, że faktycznie za dużo w sejmie facetów, abstrahując od ich wieku i zaślinienia. Kobiet powinna być połowa i w sejmie, i w senacie, a że to byłyby w większości mamusie, to poniekąd by decydowały.

– Korwin chce tę ścieżkę skrócić: „to dziewczyna i matka powinny decydować, czy dziewczyna jest dojrzała, czy nie". No żeż taka jego mać! Pokaż mi matkę, która powie dziewczynie: „Córuś, już czas, daj komuś dupy". Toć to się jakieś szwadrony dziewic wyhoduje w tym kraju, bo się chłopy będą bały, że mamusia każe wsadzić… Do więzienia znaczy…
– Dobrze, że wyjaśniłaś, bo zabrzmiało dwuznacznie.

– To ja już wolę zaślinionych staruchów, którzy mówią: do 15 lat nie wolno, ale potem nie nasza sprawa. Która matka kiedykolwiek powie „nie moja sprawa"? Twoja by powiedziała?
– Na świętą dziewicę mnie nie przeznaczyła, ale też za mojej młodości pierwszy raz nie był tak wcześnie jak teraz, kiedy młodzi słuchają internetu i rówieśników, a nie rodziców. Ale nie mów, że żadna matka nigdy, bo chyba pamiętasz, jak mamusia Geimer osobiście przyprowadziła Polańskiemu swoją 13-letnią córkę Samanthę? No przecież nie na modły...

– U Korwina byłaby w prawie. I nawet pół bańki papieru odszkodowania Samantha nie mogłaby się domagać od Polańskiego, bo wszystko byłoby na legalu. Do dupy z takim liberalizmem.
– No właśnie.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 283

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl a2ff4f8b46